

WALKA MŁODYCH



3

MARZEC

1955

ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZMP

WALKA MŁODYCH



ROK VIII 3(80) - Marzec 1955

Organ Zarządu Głównego Z.M.P.

W numerze:

Inicjatywa, samodzielność	3
Walka o szkołę polską w 1905 r. — Ryszard Murawski	7
Od atomu do żywego białka — Aleksander Godlewski (konsultacja)	12
.....	
Fraszki — Tadeusz Polanowski	16

Z ŻYCIA ORGANIZACJI

Sprawa nadal otwarta — Jan Majecki	17
Słuszne czy fałszywe oskarżenia	
Eleonora Salwa Sydek mówi o „problemie „Barbary“	21
Barbara Zatryb wysuwa silne kontrargumenty	23
W mojej roli — Danuta Jakubiak	26

Z DOŚWIADCZEŃ WLKZM

Towarzysz twojej młodości — W. Czaczin	29
--	----

NA TEMATY MIĘDZYNARODOWE

Konflikt w Cieśninie Taiwańskiej — Maksymilian Berezowski	38
---	----

Wiersze młodych

Przebudzenie — Włodzimierz Odojewski	
Szczęście — Małgorzata Hillar	43
Oryl — Leszek Bakula	

Opiekunowie — Feliks Derecki	43
--	----

KRYTYKA I BIBLIOGRAFIA

Sprawa „Pokolenia” — Krzysztof T. Toeplitz	44
Zespoły artystyczne przed V Festiwałem — Aleksandra Andrejewa	47

DO CZYTELNIKÓW

„Walka Młodych” — czasopismo przeznaczone dla szerokich rzesz aktywistów ZMP wychodzi już przeszło rok. Przez cały ten okres Redakcja stara się uczynić z tego czasopisma jak najlepszego doradcę i pomocnika dla wszystkich aktywistów ZMP w ich trudnej pracy nad wychowaniem młodzieży. Potrzebna w tym jest również Twoja pomoc. Prosimy Cię przeto, abyś odpowiedział możliwie szczegółowo na poniższe pytania (nie koniecznie na wszystkie).

1. Jakie artykuły i dlaczego uważasz w „Walce Młodych” za najlepsze oraz jak korzystałeś z nich w swej pracy?
2. Które artykuły zamieszczone w „Walce Młodych” uważasz za najsłabsze i dlaczego?
3. Jakie braki widzisz w piśmie (dotyczące treści artykułów, formy, języka, szaty graficznej pisma itp.).
4. Jaka, Twoim zdaniem, powinna być tematyka zamieszczanych w „Walce Młodych” artykułów. Czy wachlarz zagadnień poruszanych w piśmie jest wystarczający, czy też należało by go zmniejszyć lub poszerzyć (o jakie zagadnienia)?
5. Jakie masz inne uwagi, wnioski, propozycje dotyczące „Walki Młodych”.

Napisanie odpowiedzi nie zabierze Ci dużo czasu, a trud Twój przyniesie poważny pożytek organizacji, pozwoli polepszyć czasopismo, które przecież może się stać jeszcze lepszym doradcą, bardziej skutecznym pomocnikiem i trybuną wszystkich aktywistów ZMP.

Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres:

Redakcja „WALKI MŁODYCH”

Warszawa, ul. Mokotowska 24

Autorzy odpowiedzi proszeni są o podanie swojego adresu, funkcji w organizacji oraz zawodu.

Czekamy na odpowiedzi.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia
REDAKCJA

INICJATYWA, SAMODZIELNOŚĆ

INICJATYWA i samodzielność — te dwa pojęcia spotykamy obecnie coraz częściej w życiu naszej organizacji. Mówi się o nich na naradach aktywu, trochę jeszcze nieśmiało wypowiada się je w kołach ZMP. W aktywie ZMP coraz mocniej utrwala się przekonanie, że nieumiejętność rozwijania inicjatywy oraz dość powszechnie spotykane doładowanie tłumienie oddolnych porywów młodzieży, w niemniejszej również skali efekciarskie reżyserowanie życia młodzieży — było jednym z jego kardynalnych błędów, było powodem słabości naszego Związku.

Za mało jednak i dość po wierzchu zastanawia się nasz aktyw nad tym, co przyczynia się do wzrostu inicjatywy i samodzielności młodzieży, a co je hamuje. Często — nawet pracownicy aparatu zetempowskiego potrafią powiedzieć: ...w tym a w tym kole młodzież nie ma inicjatywy, w tamtej gromadzie to młodzież „śpi“... itp. A przecież takie powiedzenie wynika najczęściej z niezajomości warunków życia oraz potrzeb młodzieży. Inicjatywa i chęć samodzielnego działania to atrybuty młodości, trzeba je tylko umieć dostrzegać i rozwijać. Najgorsze co może być, to traktowanie inicjatywy młodzieży jedynie jako pomocy w realizowaniu zadań, wynikających z wytycznych czy instrukcji odgórnych.

Od tej złej strony patrząc, aktyw w powiecie skierniewickim nie dojrzał potrzeby jak najenergiczniejszej pomocy dla młodzieży z Woli Drzewieckiej, która z własnej inicjatywy i jedynie przy pomocy miejscowej ludności wybudowała Dom Kultury. Zabrakło jej funduszy na wykończenie dachu, zabrakło

jej również sił na przekonywanie biurokratów, że fundusze na dach powinny się znaleźć. Nie było wytycznej, ani instrukcji, nikt nie był papierkowo odpowiedzialny za sprawę dachu w Woli Drzewieckiej, dlatego nikt nie czuł się zobowiązany pomagać, no i dlatego wśród tamtejszej młodzieży miejsce inicjatywy i zapału — przynajmniej na pewien okres zajęło zniechęcenie.

Z takim brakiem inicjatywy, osłabiającym z kolei inicjatywę oddolną, mamy do czynienia wówczas, gdy dana organizacja zetempowska, czy poszczególny jej aktywista w pracy swej czeka tylko na to, co „góra“ powie, gdy wykonuje tylko polecenia i trzyma się przede wszystkim „litery“ tych poleceń.

Brak inicjatywy rodzi szablon w pracy, a szablon to jednostajne powtarzanie starych utartych form, to brak pomysłów, to marwota — a więc nuda. Oznacza to w konsekwencji, że taka „działalność“ to czysta formalność potrzebna chyba tylko dla zadowolenia „góry“, to nieliczenie się z najistotniejszymi potrzebami młodzieży. Co gorsza wielu naszym aktywistom wydaje się jeszcze, że tak trzeba, że tak właśnie realizuje się „linię“ — jak to przyjęło się u nas mówić. To błędne mniemanie musimy do końca wykorzenić, a w jego miejsce wyrobić u naszych aktywistów przekonanie, że interesy naszej organizacji, interesy młodzieży — to pojęcia jednoznaczne, nierozdzielne z sobą powiązane. To przekonanie powinno być podstawowym kryterium słuszności inicjatywy i samodzielności — i aktywu i młodzieży.

Są u nas jeszcze takie organizacje, które nie mogły odważyć się na żaden samodzielny krok, chociaż wymagały tego potrzeby młodzieży, bo w danej sprawie nie było wytycznych. Świadczyć może o tym następujący przykład. W Gdyni istnieje przedsiębiorstwo rybackie, zwane w skrócie „Dalmor“. W „Dalmorze“ istnieje duża organizacja zetempowska, licząca kilkadziesiąt kół. Zetempowcy z „Dalmoru“ w okresie połowów przez wiele miesięcy przebywają na morzu. Stąd praca tej organizacji jest szczególnie trudna. Zarząd zakładowy „Dalmoru“, Zarząd Miejski ZMP w Gdyni, jak również i Zarząd Wojewódzki dobrze wiedziały o tym, że zebrania sprawozdawczo-wyborcze w kołach załóg pływających trzeba przeprowadzić najpóźniej na początku marca, bo następna „okazja“ nadarzy się dopiero po zakończeniu sezonu połowów, późną jesienią. Zebrania tych nie przeprowadzono jednak, bo nie było dyrektyw w tej sprawie. Trzeba było dopiero interwencji instruktora ZG ZMP, aby spowodować przeprowadzenie zebrań.

O czym świadczy ten przykład? Świadczy on o tym, że odnośne instancje kierowały się nie specyficznymi warunkami pracy organizacji zetempowskiej w „Dalmorze“, lecz czekały, ...co „góra poleci“. Nie trudno było by znaleźć więcej podobnych przykładów, organizacja gdyńska wcale nie należy do wyjątków. Dlatego to w pracy naszych instancji i aktywów musimy dokonać radykalnych zmian. Nie trudno jest odpowiedzieć, w jakim kierunku zmiany te powinny pójść. Droga jest jedna. Każda organizacja zetempowska, każda instancja terenowa w działalności swej kierować się musi: po pierwsze — założeniami ideowymi związku zawartymi w Statucie ZMP i po drugie — głęboko rozumieć i znać warunki i potrzeby młodzieży. by te założenia jak najlepiej realizować.

W wielu naszych organizacjach spotykamy się obecnie z błędnym mniemaniem, że teraz obejdziemy się bez wytycznych, bez odpraw, porad, akcji całej organizacji itp., bo młodzież będzie sama dawała sobie radę. Wskazania, o których mówiliśmy wyżej, wcale nie świadczą, że obejdziemy się bez wytycznych, bez kierownictwa. Po to bowiem organizacja ma swoje kierownictwo, aby na bieżąco kierowało jej pracą. Wynika natomiast z nich inna rzecz, a mianowicie właściwe

zrozumienie roli kierownictwa — nie ograniczającego inicjatywy, lecz pobudzającego i podnoszącego każdy przejaw samodzielności, kierownictwa mającego na celu kształtowanie u młodzieży aktywnego stosunku do życia, bojowej postawy wobec zła i serdecznych stosunków między ludźmi.

Dlatego te wszelkie wytyczne organizacji, wszelkie wytyczne instancji musimy traktować przede wszystkim jako pomoc w realizacji głównych zadań wychowawczych naszego Związku. Wytyczne są wówczas słuszne, gdy przyspieszają proces rozwoju młodzieży. Ich wartość praktyczna zależy jednak od tego, czy spotykają się z samodzielną, pełną inicjatywą i życia pracą niższej instancji czy koła ZMP. W pojęciu „praca organizacji“ musimy rozumieć również głębokie rozeznanie potrzeb oraz specyficznych trudności młodzieży w każdym środowisku. Tej specyfiki nie jest w stanie uwzględnić w swych wytycznych czy instrukcjach kierownictwo centralne — to należy do zadań poszczególnych organizacji zetempowskich i to cechuje między innymi ich inicjatywę i samodzielność.

Dla prawidłowej realizacji głównych zadań ZMP nie wystarczy jednak sama inicjatywa instancji. Niezbędna jest inicjatywa całej naszej młodzieży. Czy jej nie ma, tej inicjatywy, skorośmy powiedzieli, że jest potrzebna. Owszem jest. Ale dotychczasowa nasza praktyka, nie wykorzeniona jeszcze niestety, prowadziła do tego, że zamiast rodząca się od dołu inicjatywę podtrzymywać i jak najdalej rozwijać, myśmy ją często hamowali i ograniczali. Co gorsza usiłowaliśmy konderować odgórnie. Przecież to my na naszych posiedzeniach ustalaliśmy najczęściej, która organizacja wezwie inne do takiego lub innego czynu, podejmie takie czy inne zobowiązanie. Nie liczyliśmy się przy tym, że w wytypowanej przez nas organizacji akurat pożądaną przez nas inicjatywę nie było.

A z drugiej strony — gdy jakaś organizacja wystąpiła z nową inicjatywą i od ZP czy ZW oczekiwała pomocy w spopularyzowaniu jej przedsięwzięcia — to ileż razy zdarzyło się, że instancje długo zastanawiały się, co z takim fantem zrobić. Kombinowały, czy to właśnie ta organizacja powinna była występować z inicjatywą, radziły się w „Centrali“. A przecież zdrowy rozsądek wskazywał, że inicjatorem jest ten, kto w danej sprawie

występuje z inicjatywą, a nie ten, kto nie ma nic do powiedzenia — wytypowany odgórnie.

Jakże rzadko wychodzimy na spotkanie inicjatywie młodzieży. A przecież niekiedy, po to żeby podjęte przez młodzież dzieło uwieńczyć pełnym powodzeniem, potrzeba nieznacznej tylko naszej pomocy. Często trzeba pomocy materialnej, ale nie rzadziej trzeba moralnego poparcia czy też rady z naszej strony. Ileż to razy odwracaliśmy się plecami od takich potrzeb? Przydziałem środków materialnych my nie dysponujemy, zgoda! Ale po to przecież reprezentujemy młodzież, aby domagać się prawidłowego rozdziału tych środków. Wróćmy do wspomnianego już przykładu z Woli Drzewieckiej. Czy rzeczywiście na ten cel nie było funduszków? Na pewno były. Wiemy przecież, jak dużo środków państwo przeznacza na ten cel. Nie jest również tajemnicą, że środki te często nie są wykorzystane, albo wykorzystane nieprawidłowo.

Inicjatywę młodzieży tłamsi również wadliwa pomoc, jakiej nadrzędne instancje udzielają kołom zetempowskim. Przypomnijmy sobie chociażby sprawę odgórniego narzucania tematyki zebrań, albo bezpośrednią pomoc naszych pracowników dla organizacji zetempowskich, która w bardzo wielu wypadkach polegała na tym, że instruktor sam zwoływał i przeprowadzał zebrania kół, czy zarządów! Stąd też trudno jest się dziwić, że wiele organizacji zetempowskich źle pracuje, mimo że tyle razy pomagali im instruktorzy. Niedźwiedzia więc przysługę wyrządzają każdej organizacji ci aktywiści, którzy zamiast uczyć samodzielności, zastępują miejscowy aktyw, wyręczają go, nie mówiąc już o takich kwiatkach jak narzucać własnej woli. Pomoc dla dołowych organizacji oceniana być musi stopniem ich usamodzielnienia, a nie ilością pobytów w „terenach“.

A czy nasza praca polityczno-wychowawcza sprzyjała rozwojowi inicjatywy młodzieży? Trudno jest na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Bo jakże mogła ona rozwijać inicjatywę, jeżeli hamowaliśmy dyskusje. Żądaliśmy przecież, żeby młodzież do prawd, które jej podajemy, nie miała żadnych zastrzeżeń. Traktowaliśmy przy tym człowieka jak jakieś puste naczynie, które wystarczy

napchać tezami marksizmu, a już będzie gotowy komunista. Tymczasem człowiek to istota skomplikowana, to przede wszystkim istota myśląca. Zapyta ktoś może: gdzie hamowano dyskusję? Przecież na wszystkich niemal odprawach, konferencjach i zebraniach ciągle nawoływaliśmy do dyskusji? Owszem nawoływaliśmy, ale jednocześnie gasiliśmy — jakże często — te głosy, które nie były „po naszej linii“. Uważaliśmy je za wypowiedzi wrogie. Wytworzyliśmy atmosferę potępiania tych, którzy mieli śmiałość wyrażania swoich wątpliwości dotyczących różnych dziedzin naszego życia i naszej ideologii. Chcieliśmy, aby ideologię naszą przyjmowano jak słowo boże, „na wiarę“, nie wnikając w to na ile utrwaliła się ona w świadomości młodego człowieka, na ile wyparła ona starą, burżuazyjno-klerykalną ideologię. Nauczenie się na pamięć formulek marksistowskich wcale nie oznacza jeszcze przyjęcia naszej ideologii. Nie można mówić o wychowaniu, jeżeli wychowywany nie będzie aktywnie uczestniczył w tym procesie.

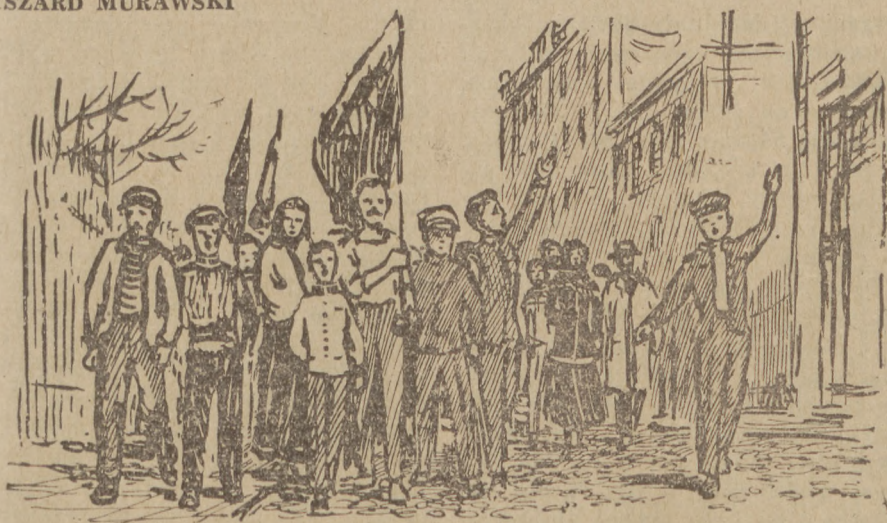
Żeby wyrugować to, co stare i pokutujące w świadomości ludzi, trzeba to stare wyciągnąć na światło dzienne. Nie przezwyciężymy niczych wątpliwości, jeżeli wątpiący ich nie wyrażą. A do czego prowadziła nasza praktyka? Do tego, że młodzi ludzie gryźli się w sobie, a nie mieli odwagi wystąpić ze swymi wątpliwościami czy wahaniem. Stąd zaszła konieczność statutowego zagwarantowania prawa do wyrażania przez zetempowców „nurtujących ich myśli w każdym zetempowskim gronie“. Pełne przestrzeganie tego prawa — oto środek prowadzący do rozwijania inicjatywy.

Dużo mówimy też o wrażliwości na krzywdę ludzką, o nienawiści do zła i ludzi czy klas, które tego zła są sprawcami. Ale jakążże jest niekonsekwencją, jeżeli zła, które da się zlikwidować, nie likwidujemy, jeśli w walce z krzywdą, jaką tu i ówdzie wyrządza się młodzieży, my jej nie pomagamy? Stąpamy tym przecież całą wrażliwość na krzywdę, co w prostej linii prowadzi do bierności, do tego, że ludzie zaczynają nam tylko potakiwać. Owo potakiwanie nie zawsze jest wyrazem tego, co ludzie myślą. A to bynajmniej nie sprzyja rozwojowi inicjatywy.

Wskazaliśmy niektóre źródła hamowania inicjatywy młodzieży, prowadzące do wychowywania biernych „potakiwaczy“, jeśli nie dwulicowców. Po III Plenum KC PZPR i II Zjeździe ZMP lepiej orientujemy się w źródłach naszych zasadniczych słabości i możemy się zabrać do likwidacji tych źródeł. Będzie to wymagało długiej i uciążliwej pracy. Naprawić sprawę zawsze jest trudniej, niż ją popsuć. A przecież napsuliśmy wiele. Toteż nie mają absolutnie racji ci aktywiści, którzy uważają, że tak pojęta praca będzie wymagała mniej wysiłku, niż dotychczasowa. Mylą się grubo ci, którzy sądzą, że nasza rola zmaleje, gdy praca zetem-powska oprze się na inicjatywie samej

młodzieży. Sprawa wygląda wręcz odwrotnie. Będziemy musieli wzmacniać i doskonalić nasze kadry aktywistów-działaczy, bo teraz to nie wystarczy już umiejętność wykonywania odgórnych poleceń. Warunkiem skutecznej pracy będzie zdolność twórczego wcielania w życie głównych założeń Związku. Ożywienie dyskusji ideologicznych spowoduje, że młodzież stawiać będzie przed nami dziesiątki najróżnorodniejszych pytań, na które nie kto inny jak właśnie my, aktywiści, będziemy musieli w pierwszym rzędzie odpowiadać. A to sprawa nie prosta. Trzeba będzie głębiej sięgać po mądrość życia do mas, uczyć siebie, aby móc uczyć innych, doceniając w pełni ich inicjatywę i słuszne dążenie do samodzielności.





WALKA O SZKOŁĘ POLSKĄ w 1905 r.

NA początku XX w. Królestwo Polskie wchodziło w skład Rosji carskiej i na równi z nią cierpiało niczym nieograniczone jarzmo absolutystycznej samowoli caratu, jego policji, wojska itp. Ograniczenia gospodarcze, ucisk polityczny i narodowy dotkliwie ciążyły na życiu całego kraju. Masy pracujące nie miały najbardziej elementarnych praw i swobód obywatelskich. Narody ujarzmione przez carat poddane były brutalnej rasyfikatorskiej polityce sfer rządzących. W szeregach klasy robotniczej i chłopstwa wzrastały nastroje rewolucyjne, skierowane przeciwko klasom posiadającym i caratowi. W odpowiedzi na masakrę robotników Petersburga, 22 stycznia 1905 r., do walki stanęła klasa robotnicza Rosji, wydając krwawy bój caratowi, bój o republikę demokratyczną, o swobody polityczne. Solidarnie z nią wystąpił również i proletariats Królestwa Polskiego. Już 27 stycznia wybuchł w Warszawie strajk powszechny, który z błyskawiczną szybkością ogarnął cały kraj. Siłą napędową rewolucji stał się proletariats, który porywał za sobą i inne wyzyskiwane warstwy społeczeństwa. Do walk rewolucyjnych włączyła się również młodzież polska, młodzi robotnicy, uczniowie i studenci Królestwa Polskiego.

Szkola w zaborze rosyjskim była od wielu lat jednym ze środków wykorzystywa-

nych przez carat w celu zatamowania postępu i swobodnego rozwoju narodu. Szkoły elementarne odpychały lud obcym językiem wykładowym, gorliwie pracowały nad paczeniem i deprawowaniem młodzieży. Szkoły średnie i wyższe, gdzie wysokie opłaty i konkursowe egzaminy utrudniały przyływ młodzieży robotniczej i chłopskiej, przygotowywały kadry inteligencji — urzędników — automatów — do lokajskiej służby dla caratu. Nauczycielami byli przeważnie Rosjanie, a jeśli się trafił Polak to taki, który odpowiadał wszelkim zasadom prawomyślności politycznej. Nauka odbywała się w języku rosyjskim. Przepisy szkolne głosiły, że „w murach gimnazjum nie wolno mówić po polsku“. Wszędzie panowało donosicielstwo, panował system policyjno-szpiegowski.

Z całą zawziętością tępiono postępowe tradycje narodu polskiego. Szkoła była obcą polskiemu dziecku, obcą jego mowie, jego duszy.

Wszystko to wywoływało nienawiść i pogardę dla policyjnych wychowawców. Toteż gdy tylko rozległ się pierwszy głos proletariatu wzywający do walki, młodzież akademicka, już następnego dnia po wybuchu strajku powszechnego w Warszawie, 28 stycznia, zwołała wiec na Politechnikę i Uniwersytecie Warszawskim. Nastrój wśród studentów był podniecony. Rozrzucone prokla-

macje Organizacji Młodzieży Socjaldemokratycznej (młodzieżowa organizacja zbliżona do SDKPiL) były przyjęte przychylnie. W Politechnice na ogólną liczbę 1000 studentów przyszło na wiec około 800. Przybyli również Rosjanie i Żydzi. Rozpoczęła się ostra walka między młodzieżą endecką¹⁾ a postępowcami różnych odcieni. Padały gorące słowa esdeków²⁾, wzywające do solidarności z rewolucyjnym ruchem rosyjskim. Na Uniwersytecie, gdzie było kilku SDKPiL-owców i Rosjan bolszewików, wiec również ułynął w gorącej atmosferze. W uchwalonej tam rezolucji czytamy: „My, Młodzież Uniwersytetu Warszawskiego (...) wyrażamy swą bezwzględna solidarność z ruchem rewolucyjnym proletariatu i jego walką w obecnej chwili o zwalenie rządów absolutystycznych w państwie rosyjskim i wyzwolenie się spod wspólnego jarzma. Na równi z proletariatem (...) uważamy za niezbędne zwolanie Zgromadzenia Prawodawczego w Warszawie na zasadach powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania, które (...) orzeknie o przyszłym ustroju Królestwa Polskiego“.

Stwierdziwszy, że despotyzm carski stoi w zupełnej sprzeczności ze stanem rozwoju społeczno-ekonomicznego Rosji wysunięto żądania zamiany samowładztwa na republikę demokratyczną, równouprawnienia narodowości i wyznań, oddzielenia szkoły od kościoła i kościoła od państwa, swobody zebrania, druku, słowa, związków, strajków, powszechnego i bezpłatnego nauczania. „Żądania te — stwierdza rezolucja — wystawione są przez Socjaldemokrację, solidarnie z którą w imię tych żądań występujemy“.

Rezolucja ta świadczy o głęboko rewolucyjnych nastrojach w środowisku młodzieżowym, o poważnym na niego wpływie SDKPiL; o tym, jak żywo młodzież reagowała na wystąpienia proletariatu, jak z nim się solidaryzowała i uznawała jego kierownictwo w walce.

W ślad za młodzieżą akademicką rozpoczyna się masowy ruch w szkołach średnich. W pierwszych dniach lutego we wszystkich prawie szkołach młodzież przerywa lekcje i przyłącza się do manifestacji robotni-

czych. Uczniowie przedstawiają żądania: 1. szkoły polskiej z językiem wykładowym polskim oraz prawem zakładania szkół narodowościowych wszelkich typów, 2. zniesienia systemu policyjnego (szpiegostwa, donosicielstwa, rewizji), 3. kontroli społecznej nad szkolnictwem, 4. nauczycieli i kierowników Polaków, 5. zniesienia wszelkich ograniczeń narodowych, wyznaniowych i stanowych, 6. wolności nauki i nauczania.

Niektóre szkoły domagały się zniesienia przymusu religijnego. Żądania te młodzież na ogólnym zebraniu z niezwykłą powagą wręczyła dyrekcji szkół, po czym zerwawszy znaczki rosyjskie z czapek tłumnie z okrzykami: „Precz ze szkołą policyjną! Niech żyje wolność!“ manifestacyjnie opuszczała szkołę. Często dokonywało się to przy biciu szyb, wyłamywaniu bram; w atmosferze gorących zebrania i przemówień sypały się pogroźki pod adresem szczególnie zniechęconych nauczycieli.

We wszystkich szkołach młodzież powoływała komitety strajkowe. Całym ruchem kierował Centralny Komitet Szkół Średnich. Na posiedzenia jego przychodzili tacy ludzie jak Feliks Kohn, Ludwik Krzywicki, Jerzy Heryng, którzy starali się całej akcji nadać właściwy kierunek. Obok tego było bardzo dużo organizacji młodzieżowych odpowiadających różnym partiom politycznym, które na swój sposób mobilizowały młodzież. Niektóre z nich, np. organizacje endeckie, chciały oderwać ruch młodzieży od ogólnej walki proletariatu i skierować go na tory nacjonalizmu, siły nienawiści do ludu rosyjskiego³⁾, były więc reakcyjne i antynarodowe. Natomiast Organizacja Młodzieży Socjaldemokratycznej wychowywała młodzież w duchu rewolucyjnym i internacjonalistycznym, odegrała niewątpliwie rewolucyjną rolę. OMS miała swych przedstawicieli we wszystkich zakładach naukowych. Członkowie jej wchodziłi w skład Centralizacji kierującej całym ruchem. W obradach Zarządu organizacji brał udział stale przedstawiciel Komitetu Warszawskiego SDKPiL, taw. Goldenburg. Choć ilość organizacji ta nie była zbyt duża, bo początkowo leżyła

¹⁾ Część składowa burżuazyjnej partii — Narodowej Demokracji.

²⁾ Socjaldemokratów — S. D.

³⁾ Delegat endecki, który ufał się z Warszawy do Siedlec w celu zorganizowania tam strajku, ostrzegał młodzież przed łączeniem akcji szkolnej z ogólną walką proletariatu a szczególnie „z narastającym wrzeniem rewolucji rosyjskiej“.

zaledwie 5 kół, to jednak stanowiła poważną siłę. Była jedyną rewolucyjną organizacją, która sprawę walki o szkołę polską łączyła z ogólną walką proletariatu o swobody polityczne. Taki też charakter razem z SDKPiL nadała ona całemu strajkowi szkolnemu, który rozszerzał się z błyskawiczną szybkością. Już 28 stycznia uczniowie ze szkoły realnej przy Nowym Zjeździe w Warszawie uformowali pochód, który pociągnął ulicami do Marszałkowskiej i Koszykowej nawołując po drodze wszystkie szkoły do przyłączenia się. Innym razem pochód ruszył od Placu Zamkowego przez Krakowskie Przedmieście do Nowego Świata. Wszędzie widać było tłumy uczniów snujących się po mieście, biorących udział w robotniczych pochodach i walkach. Bardzo często studenci, którzy byli niezwykle czynni w akcji strajkowej, siłą zmuszali nauczycieli do przerywania lekcji.

W Zaglebiu Dąbrowskim robotnicy udali się do szkoły realnej i wezwali do strajku młodzież, która przyjęła ich entuzjastycznie i manifestacyjnie opuściła szkołę. W Kaliszu uczniowie i robotnicy, wzięwszy się pod rękę szli od gimnazjum filologicznego do żeńskiego wznosząc okrzyki rewolucyjne. W Sosnowcu młodzież wystąpiła również pod wpływem robotników, którzy strajkując udali się do miejscowej szkoły i wezwali uczniów do jej opuszczenia. Podobnie było i w Łowiczu. W zgierskiej szkole handlowej uczniowie zdarli i poniszczyli portret Mikołaja Ostatniego i na jego miejsce powiesili portret Marksa. W tej też szkole w ślad za Polakami zwołali więc również i Żydzi, żądając wprowadzenia szkoły żydowskiej. W Częstochowie uczniowie opuszczając szkołę stwierdzili w rezolucji: „**Ruch rewolucyjny szeroką falą ogarnął całe terytorium państwa rosyjskiego. My, uczniowie częstochowskiego gimnazjum z ruchem tym solidaryzujemy się**”.

W Siedlcach do strajku (nazywanego tam akcją polską) przyłączyli się Rosjanie i Żydzi. W Łomży władze szkolne sterroryzowały uczennice w szkole żeńskiej, zamknęły je i nie pozwoliły wychodzić. Na pomoc przyszli uczniowie gimnazjum męskiego, którzy siłą wdarli się do gmachu, uwolnili koleżanki i razem udali się na manifestację do miasta. W Lublinie hasło do strajku dał 13-letni wówczas Bolesław Bierut, rzucając kałama-

rzem w wiszący na ścianie portret cara. Po opuszczeniu szkoły młodzież urządziła potężny manifestacyjny pochód na grób ^{ś.} Piotra Ściegiennego, śpiewając rewolucyjne pieśni. We wszystkich prawie szkołach młodzież podarła i popaliła książki rosyjskie, obrazy i portrety carskie.

W czasie strajku młodzież zaczyna organizować na wielką skalę akcję samokształceniową, w której biorą udział postępowi profesorowie zarówno Polacy jak i Rosjanie. Wśród młodzieży działają tzw. szkoły propagandy prowadzące szkolenie ideologiczne. Młodzież występowała również ostro przeciwko szerzącemu się ehuligaństwu i wagarowaniu, a gdy ugrupowania endeckie, chcąc zatruć młodzież jadłem szowinizmu, nawoływały do pogromów żydowskich, podjudzanie to spotkało się ze zdecydowanym oporem. Gdy pomimo strajku niektórzy rodzice zmuszali dzieci do chodzenia do szkoły, wystosowano do nich odezwę, w której czytamy: „**Hańba wam! bo jesteście nową Targowicą wśród narodu polskiego (...) uczcie wasze dzieci już na ławach szkolnych zdradzać dla patentu sprawę narodową i kolegów walczących o polską szkołę**”. Gdy to nie pomogło, potworzono specjalne grupy, które zawracały łamistrajkowiczów do domu. Zdarzały się nawet wypadki pobicia tych, którzy nie chcieli się solidaryzować.

Widzimy więc, że ruch młodzieży walczącej o polską i demokratyczną szkołę ogarnął wszystkie miasta. Możliwy był on tylko w oparciu o walkę, którą podjął proletariat. „**Strajk szkolny zrodziła rewolucja — głosiła SDKPiL — ona jest jego racją bytu i ona jedynie wlewa w akcję szkolną treść żywą**”. Strajk szkolny wyrósł więc na falę wrzenia rewolucyjnego i dzięki niemu utrzymywał się. Z niezwykłą siłą przemawiał wobec całego świata ów protest dzieci polskich przeciwko rusyfikacji. „**Przypominał on żywo największą zbrodnię absolutyzmu, bo zbrodnię nad duszami dzieci**”.

Młodzież socjaldemokratyczna chcąc połączyć walkę o szkołę polską z ogólną walką proletariatu i nadać jej charakter rewolucyjny, wydała w styczniu odezwę, w której głosiła: „**Nam ani na chwilę nie wolno zapominać, że podstawą narodu jest klasa ro-**

botnicza (...) z robotnikami, nam, młodzieży, walczyć należy¹⁾, a w odezwie marcowej nawoływała młodzież, aby szła „w ślady tych, co krew na ulicach przelewają za tak drogą dla nas wolność, wolność — w parze z którą idzie swobodne, wzniośle i dostępne dla wszystkich nauczanie²⁾”. O tym, że młodzież solidarnie występowała z klasą robotniczą, świadczy jej odezwa z października 1905 r. „Szkole taką, o jaką walczymy, możemy otrzymać tylko na gruzach caratu (...) Ani rząd obecny, ani burżuazyjne społeczeństwo nie może nam dać tych szkół, które są naszym ideałem. Miejsce więc walczących o nową szkołę jest w szeregach tych, którzy walczą z rządem i burżuazją o nowy ustrój społeczny³⁾”. Młodzież zrozumiała, że tylko klasa robotnicza może wywalczyć pełną swobodę. Toteż wtedy nawet, gdy rewolucja chyliła się już ku upadkowi w 1906 r. ZMS⁴⁾ zwraca się w odezwie pierwszomajowej do całej młodzieży: „gdy proletariatu opuści warsztaty i fabryki i wyjdzie na ulicę, przezwyciężcie i wy swoje zajęcia szkolne, idźcie wszędzie tam, gdzie będzie lud roboczy⁵⁾”. SDKPiL całą mocą swego autorytetu popierała strajk. W specjalnych odezwach do ludu polskiego, do inteligencji nawoływała do walki o polską szkołę, piętnując tych, którzy hamowali ruch młodzieży. Porwani w wir rewolucji młodzi bojownicy ginęli razem z proletariatem. W Radomiu w czasie masakry dokonanej przez wojsko na robotnikach zginął uczeń **Józef Szokalski**, w Sosnowcu zginął śmiercią żołnierza-rewolucji uczeń szkoły realnej **A. Malewicz**.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że walka młodego pokolenia znalazła uznanie i gorące poparcie rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Z wielką sympatią wyrażał się o niej wódz proletariatu tow. Lenin. Gdy grupa łamistrajkowiczów w Warszawie została w klasie, nauczyciel fizyki **Rostowcew**,

Rosjanin, odmówił prowadzenia z nimi lekcji twierdząc, że z „taką hołotą pracować nie będzie”. Uczeń **Jan Kalejew**, Rosjanin, zginął śmiercią bohatera w Warszawie. — Oto szczególnie wymowne przykłady współpracy rewolucjonistów rosyjskich z polskimi, chlubna karta wspólnej walki dwóch bratnich narodów.

Do ogólnych wystąpień młodzieży w większych miastach dodać należy potężny ruch chłopski, tzw. ruch gminny. Była to walka chłopstwa przeciw wynarodowieniu, o wprowadzenie języka polskiego do szkół wiejskich i do administracji gminnej. „Chłopi wpadali do szkół, niszczyli portrety carów, domagali się od nauczycieli nauczania w języku polskim“, a gdy odpowiedź była odmowna zabierali dzieci do domu. Nawet w odległych od miast wioskach szkoły zamierały.

Wykazuje to niezbicie, że prawdziwymi obrońcami kultury narodowej i w ogóle polskości byli robotnicy i chłopi.

Władze szkolne bardzo często odwoływały się do policji i żandarmerii. Do IV Gimnazjum Żeńskiego w Warszawie, gdzie uczennice pobiły inspektora, wezwano oddział wojska i około 60 policjantów, którzy z najeżonymi bagnetami wbiegli pędem do szkoły gotowi do strzału i ataku. Również w Płocku przeciwko „zbuntowanej“ młodzieży wezwano policję i żandarmerię, która wkroczyła do szkoły i siłą zmusiła młodzież do rozejścia się. Nastąpiły aresztowania organizatorów i kierowników strajku.

Spółczesność burżuazyjna przerażona nastrojami młodzieży wypowiedziała się zdecydowanie przeciwko strajkowi. Czołowy przywódca endecji, Dmowski, na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego“, stwierdził, że „cały ów strajk uważać należy za wielkie nie-szczęście“, gdyż grozi on „nieobliczalnymi następstwami dla całego społeczeństwa“⁶⁾. Endecja starała się całemu ruchowi młodzieży nadać charakter umiarkowany, ograniczając go tylko do składania petycji.

Ta polityka znalazła gorące poparcie w wyższej hierarchii kościelnej. Arcybiskup Popiel rozesłał do całego duchowieństwa orędzie potępiające strajk oraz polecił księżom gromić go publicznie z ambon. Wystą-

¹⁾ Odezwa Organizacji Młodzieży Socjaldemokratycznej ze stycznia 1905 r., patrz: „Zjednoczenie“ Nr 2/3 1905 r.

²⁾ Odezwa Organizacji Młodzieży Socjaldemokratycznej z marca 1905 r., patrz: „Czerwony Sztandar“, kwiecień 1905 r.

³⁾ Arch. KC PZPR. Odezwa Związku Młodzieży Socjalistycznej z października 1905 r.

⁴⁾ Związek Młodzieży Socjalistycznej — organizacja zbliżona do PPS.

⁵⁾ Cytuję za W. Sulewskim: Młodzież w walce o wolność szkoły — „Sztandar Ludu“ z 24.II, 1952 r.

⁶⁾ R. Dmowski: Szkoła i społeczeństwo, patrz „Przegląd Wszechpolski“ 1905 r. nr 3/4.

pienie to spotkało się z wielkim oburzeniem wśród młodzieży, która zaprotestowała przeciwko temu w specjalnie złożonym na ręce arcybiskupa liście zbiorowym zaopatrzonym w 747 podpisów¹⁾. Reakcyjna część społeczeństwa usiłowała sprawę szkolną ująć w swoje ręce i nadać jej dogodny dla siebie charakter. Tradycyjnym zwyczajem zaczęto od pertraktacji z władzami szkolnymi. 19 lutego odbył się głośny w Warszawie „w i e c r o d z i c i ó w”, który brzmiał bardzo patriotycznie, a w rzeczywistości był wyrazem polityki ugodowej i reakcyjnej. W wyniku tego wysłano do Petersburga delegację na czele ze Świętochowskim, który w „Prawdzie” szkalował młodzież za jej „bunt przeciwko rodzicom”, aby żebrać u cara o język polski, u cara, który układał nowe plany rzezi robotników. Młodzież zaprotestowała przeciwko temu. SDKPiL demaskowała tę antynarodową postawę: „**Hańba wam jako Polakom** — głosiła w odezwie z marca 1905 r. — **hańba jako rodzicom tych dzieci, co po boha-**

tersku walkę o szkołę podjęły”²⁾. Doskonale sytuację tę określiła R. Luksemburg, która pisała: „kiedy po wybuchu strajku powszechnego klasa robotnicza cała stanęła do walki o obalenie despotyzmu, o republikę, nie szczędząc najcięższych ofiar, nasze społeczeństwo burżuazyjne spróbowało wyzłazić od zbójckiego absolutyzmu — „szkołę polską”, z caratem — ale „polską”, z mordowaniem robotników — ale „polską”, z knutem — ale „polską”.

Młodzież żądając szkoły polskiej na bazie demokratyzacji państwa, ruszyła do szturmowania na jedną z tych instytucji, które stanowiły część całego systemu absolutystycznego. Walka więc o szkołę polską była częścią ogólnego powstania ludowego przeciwko caratowi. Była ona ściśle związana i podporządkowana walce rewolucyjnego proletariatu.

Dziś, gdy obchodzimy 50 rocznicę rewolucji 1905 r., z dumą i chlubą nawiązujemy do tych dni, w których postępowa część narodu polskiego pod hegemonią proletariatu toczyła krwawe boje przeciwko caratowi, przeciwko tym wszystkim siłom reakcji i wsteczności, które przemocą trzymały nasz naród w niewoli i ucisku. Nawiązujemy do chlubnych tradycji walk młodzieży szkolnej o polską i demokratyczną szkołę.

²⁾ Arch. KC PZPR. Odezwa SDKPiL z marca 1905 r. „Do szkoły polskiej przez wolność polityczną”.

¹⁾ Do Jego Ekscelencji Wincentego Chościaka Popiela arcybiskupa warszawskiego: „Obce były dla Waszej Ekscelencji nasze żądania (...) Nie do biskupa zwracamy się Polacy i Żydzi (...) ale do złego obywatela, który kładł się kamieniem w poprzek najszlachetniejszym dążeniom”. Następnie 747 podpisów uczniów szkół warszawskich, wśród których figurują również nazwiska żydowskie.



OD ATOMU DO ŻYWEGO BIAŁKA

Dr ALEKSANDER GODLEWSKI

DAWNE POGLĄDY NA POWSTANIE ŻYCIA

Myśl ludzka od dawien dawna dążyła do rozwiązania zagadki życia.

„Skąd się wzięło życie“? — stawiał sobie pytanie człowiek pierwotny, zarówno myśliwy i zbieracz owoców ziemnych z puszcz podzwrotnikowych, jak i łowca z polarnych przestrzeni śnieżnych lub bezkresnych obszarów stepowych. A że bytowanie pierwotnego człowieka było trudne, przebiegało w ciągłej walce z groźnymi siłami przyrody, więc strach, często bezsilność, a przede wszystkim brak możliwości wytłumaczenia sobie w sposób naturalny zjawisk otaczającego świata, kształtował fantastyczne pojęcia człowieka pierwotnego. Powstawała chęć zjednania sobie tych zagadkowych potęg przez obrzędy kultowe i przez ochronne zabiegi magiczne. Owe ubóstwiane siły, tkwiące jakoby w przyrodzie, miały rządzić światem i kształtować istoty żywe.

Powoli, przez wieki całe, przebiegała się myśl ludzka wśród gmatwaniny zabobonów, wśród braku najistotniejszych wiadomości, potrzebnych do należytej naukowej syntezy.

Wśród narodów kulturalnych świata starożytnego zaczynają kiełkować pojęcia, aczkolwiek dość jeszcze naiwne, jednak nie pozbawione wartości zapładniającej myśl ludzką na przyszłość.

Do takich należała hipoteza uniwersalnego samoródtwa, czyli samorzutnego rodzenia się roślin i zwierząt z nieżywwej materii. W zachowanych tekstach Arystotelesa (384—332 p.n.e.) istnieją wzmianki o tym, że rośliny mogą powstawać bezpośrednio z ziemi, z ziemi rodzą się robaki, z mułu morskiego lub rzeczno — ryby, a z nawozu lub z gnijącej substancji — larwy owadów, ze słomy — myszy itp. Uczony grecki nie ograniczał samoródtwa w czasie i przestrzeni, sądził, że materia nieżywa może się powszechnie zmieniać w żywe istoty, lecz siłę nadającą taki czy inny kształt materii żywej przypisywał niematerialnemu czynnikowi, który nazywał „entelechią“.

Poglądy Arystotelesa były rozpowszechnione

w starożytności i przeszły aż do doktryn średniowiecza.

Inni filozofowie greccy — Tales z Miletu oraz Anaksymander, nie traktowali samoródtwa tak powszechnie, ograniczając je do bardzo tylko pierwotnych zawiązków życia. Z tych zawiązków z czasem rozwinęły się istoty żywe. Anaksymander dodawał, że pierwotne zawiązki mogły powstać przy odpowiednich warunkach, w środowisku morskim.

Do poglądów nurtujących w starożytnej Grecji należały dorzucić śmiało i postępowe, jak na owe czasy, myśli Demokryta, który sądził, że materia składa się z bardzo drobnych, niewidocznych cząsteczek, nazwanych przez niego atomami i że przypadkowa kombinacja atomów dała początek pierwocinom życia.

Poglądy filozofów starożytnych nie są, ściśle biorąc, poglądami naukowymi, gdyż nie opierają się na faktach stwierdzonych metodą naukową. Są raczej spekulacjami filozoficznymi. Lecz już wtedy zaczynają się zarysowywać dwa kierunki, dwa nurty ściierające się między sobą: Jeden idealistyczny, który można określić jako kierunek dopuszczający działanie niematerialnych sił w przyrodzie, drugi zaś materialistyczny, wykluczający czynniki pozamaterialne.

W średniowieczu, rozważania scholastyków opierały się na autorytecie Arystotelesa. Wielu autorów z tego okresu, hołduje w dalszym ciągu teorii samoródtwa, dodając jednak od siebie domniemane przyczyny samorodnego powstawania żyjących istot.

W czasach „Odrodzenia“ zaczęły się stopniowo załamywać naiwne poglądy średniowiecza. Zaczęto zajmować się obserwacją zjawisk przyrodniczych, powstawała krytyczna myśl naukowa. Lecz długo jeszcze wybitni przedstawiciele nauk przyrodniczych twierdzili z całym uporem, że samoródtwo, nawet wysoko zorganizowanych zwierząt, jest możliwe. Oto np. Paracelsus w XVI w. podawał przepis na sztuczne wytworzenie maleńkiego człowieczka, który by mógł się rozwinąć w prawdziwego człowieka.

W końcu nastąpiła chwila, w której proste doświadczenie Redi'ego, zadało ostateczny cios zwolennikom naiwnego poglądu. Francesco Redi zakrył gnijące mięso gęstą osłoną, przez którą nie mogły muchy składać swoich jajeczek. Oczywiście — w mięsie nie ukazała się ani jedna larwa i teoria samorodnego powstawania larw owadów z gnijącej substancji została raz na zawsze obalona. Natomiast w kawałku mięsa nie zakrytym, zaległy się larwy z jajeczek złożonych przez muchy.

W ten sposób zakończył się pierwszy etap walki o samorodne powstawanie organizmów. Choć skończył się porażką, jednak wskazywał drogę, po której kroczyli najwybitniejsi myśliciele dawnych czasów, pragnący rzucić pomost pomiędzy materią żywą i martwą.

Drugi etap zaczął się na przełomie XVII i XVIII wieku, kiedy Leeuwenhoek udoskonalił mikroskop i odkrył cały nowy świat drobnutkich istot jednokomórkowych, bakterii oraz wycieków. Teoria samoródtwa odżyła. Już nikt nie doszukiwał się samorodnego powstawania robaków, owadów, żab czy myszy. Zagadnienie przeszło na nowe tory. Chodziło o to, czy bakterie jako najdrobniejsze podówczas znane organizmy, nie mogą powstawać samorzutnie z gnijącej substancji organicznej? Francuski przyrodnik Buffon stał się zwolennikiem tego poglądu, gdyż dogadzało to jego myślom o rozpadzie ciała zmarłych istot na żywe molekuly (cząsteczki) organiczne. Lecz już w drugiej połowie XVIII wieku rosyjski badacz, M. Tierchowski, wykonał szereg doświadczeń podobnych w zasadzie do późniejszych doświadczeń Pasteur'a, w których dowodzi, że na wyjałowionej pożywce zjawiają się z powietrza zarodniki bakterii.

Na zachodzie wywiązuje się w tym czasie sławny spór między Needhamem a Spallanzanem. Zaczęło się od tego, że książd Needham wyprzął porządnie w zakorkowanej butelce — bulion barani, a więc wyjałowił — według siebie — całkowicie pożywkę, na której mogłyby się rozwijać bakterie i butelkę posłał do Królewskiego Tow. Nauk z uwagą, że w wyjałowionym płynie roi się od samorodnie powstałych istotek. Zachwyceni tak jasnym dowodem samoródtwa, członkowie Tow. Królewskiego już chcieli Needhama zaprosić na członka, gdy wystąpił włoski przyrodnik Lazzaro Spallanzani (1729—1799) z tezą zupełnie przeciwną. Twierdził on, że każda żywa istota, nie wyłączając mikroba, musi posiadać swoich rodziców. Między uczonymi zaważało. Spór toczył się w Kopenhadze, Berlinie, Pa-

ryżu, przeniósł się nawet na teren ówczesnych salonów.

Spór o samoródtwo bakterii został zamknięty doświadczeniami Pasteur'a, który drogą sterylizowania pożywek i doprowadzając odpowiednią ilość powietrza oczyszczonego przez filtrację, wykazał, że bakterie mogą się rozwijać wyłącznie z zarodników, które dostały się na pożywkę z powietrza.

Na tym kończy się drugi etap walki o samoródtwie. Ze swych doświadczeń wyciągnął Pasteur jak i inni współcześni mu uczeni wniosek, że samoródtwo jest w ogóle niemożliwe, i że istnieje nieprzebyta przepaść między żywą i martwą materią.

Rzecz nauki biologicznych postępował szybkimi krokami naprzód. Ugruntowanie się teorii ewolucji czyli rozwoju świata żywych istot od form najprostszych do coraz bardziej złożonych, nasuwało pytanie, w jaki sposób i skąd wzięły się na naszej ziemi najbardziej proste istoty żywe?

Myśli przyrodników poszły wówczas w dwóch kierunkach. Pierwszy pogląd głosił, że życie jest wieczne, drugi, że życie powstało z materii nieorganicznej.

Wszystkim dziś już wiadomo, że w początkach istnienia naszej planety warunki na jej powierzchni były tego rodzaju, że uniemożliwiała jakikolwiek rozwój życia. Życie zjawiało się na ziemi przed wieloma milionami lat zgodnie z wynikami badań geologicznych. Zanim to jednak nastąpiło, ziemia nie miała żywych istot. Ci więc spośród uczonych, którzy zaprzeczali możliwości samorodnego tworzenia się organizmów na naszej planecie, zaczęli snuć teorie o wędrowaniu pierwotnych zarodków życia z innych ciał niebieskich, z przestrzeni międzygwiazdowych.

Głośną stała się hipoteza S. Arrheniusa (1854—1927) tzw. „panspermii międzygwiazdowej“. W swoim dziele pt. „L'evolution des Mondes“ (1910 r.) wykłada gruntownie opracowaną teorię wieczności i powszechności życia. Arrhenius nie tylko rozumuje, lecz stara się dowieść swoich poglądów na podstawie szeregu doświadczeń. W tym celu wykazuje, opierając się na skomplikowanych obliczeniach, że pył wraz z lekkimi zarodnikami rozproszony w atmosferze, ulega pewnej presji światła, dzięki temu przewyższa siłę ciężenia i unosi się coraz wyżej aż poza atmosferę w dalekie przestrzenie wszechświata. Tak postawiona hipoteza wydawała się bardzo prawdopodobna, zwłaszcza, że rosyjski fizyk Le-

biedwie wykrył w owym czasie ciśnienie światła. Zarodniki życia, pędzone siłą ciśnienia świetlnego wędrować miały we wszechświecie. Jedno z teoretycznych obliczeń wskazywało na możliwość przewędrowania zarodków życia w 20 dni z Marsa na Ziemię.

Cios teorii „panspermii międzygwiazdowej” zadał jednak jeszcze tego samego roku (1910) Becquerel. Badał on wytrzymałość zarodników na wielkie zimna w pustych przestrzeniach, w absolutnej suszy; poddawał je promieniowaniu ultrafioletowemu i stwierdził, że te promienie zabijają każdy zarodnik w ciągu sześciu godzin. Po odkryciu niszczyielskiej działalności promieni kosmicznych, przed którymi żywe organizmy ziemi są chronione warstwami atmosfery przebywanie zarodników w przestrzeniach poza-atmosferycznych stało się nie do przyjęcia.

Zwolennicy teorii mechanicznego powstania życia odgrzebali po blisko 2 tysiącach lat starą hipotezę Demokryta. Ojcem kierunku mechanicznego w naukach przyrodniczych był francuski filozof Kartezjusz (1596—1650), który przyrównywał istoty żywe do bardzo skomplikowanych maszyn. Przypadkowo miała powstać bardzo złożona maszyna mająca cechy żywego organizmu, przede wszystkim zdolność rozmnażania się. Według Kartezjusza, wystarczy dobrze poznać prawa fizyki, aby wyjaśnić sobie wszystkie zjawiska życiowe.

W 200 lat potem, sławny zwolennik ewolucjonizmu, uczony niemiecki Ernest Haeckel (1834—1919) również był mechanistą. Uważał, że życie powstało na naszej ziemi pod działaniem sił fizycznych z materii nieorganicznej. Próbowano nawet sposobami fizycznymi i chemicznymi otrzymać w laboratoriach żywą komórkę, ale wszystkie usiłowania czynione w tym kierunku pozostały bez rezultatu. Założenia mechanistów były fałszywe. Kierunek ten nie odróżniał formy ruchu materii żywej, od formy ruchu materii martwej. Nie dostrzegał, że życie stanowi odmienną jakość, do której trzeba zastosować odmienne prawa, prawa biologiczne.

TEORIA OPARINA

Nie wystarczą prawa fizyki i chemii do wytłumaczenia skomplikowanych zjawisk zachodzących w żywych istotach. Sam Engels uważał, że powstanie choćby najprostszej żywej bakterii wprost z materii nieożywionej jest niemożliwością. Sądził, że między najprostszą komórką a martwą materią musi być jeszcze je-

den etap, jedna forma przejściowa bezkomórkowej żywej materii białkowej. Zapatrywania Engelsa stały się podstawą współczesnych materialistycznych teorii dotyczących powstawania życia.

Opierając się na faktach zaczerpniętych z szeregu nauk współczesnych, radziecki biochemik A. Z. Oparin opracował teorię tworzenia się ciał białkowych i powstawania życia.

Według teorii O. J. Szmida, nasza planeta powstała ze skupionych cząstek gazowych i odłamków ciał niebieskich, które pod wpływem olbrzymiej energii powstałej na skutek rozpadu atomów, wytworzyły rozgrzaną, kulistą masę. Takie odłamki, zwane meteorytami, których skład chemiczny odpowiada składowi jądra ziemi, spadają jeszcze obecnie na powierzchnię naszego globu. Analiza chemiczna wykazała, że w skład meteorytów wchodzi tzw. karbidy (węgliki), czyli połączenia węgla z różnymi metalami, oraz węglowodory. Jest również azot związany z metalami w postaci azotków. Pierwotną atmosferę ziemską stanowiła przegrzana para wodna, która w wysokiej temperaturze, łatwo wchodziła w reakcję chemiczną z karbami i azotkami, wydzielając węglowodór i amoniak w skład atmosfery. Gdy na powierzchni ziemi nastąpiło już znaczne ochłodzenie, para zaczęła się skraplać i w postaci ulewnych deszczów zraszała ziemię. Wraz z potokami wody deszczowej spłynęły do tworzącego się oceanu węglowodory i amoniak. Tymczasem wybuchy wulkaniczne wyrzucały z wnętrza ziemi związki metali z węglem, co powiększało masę związków organicznych w gorących wodach pierwotnego oceanu. W okolicach, gdzie woda nie była zakłócana silniejszymi prądami, następować mogła większa koncentracja substancji organicznych i przy sprzyjających warunkach przebiegały procesy chemiczne prowadzące od prostszych związków organicznych do bardziej złożonych — od aminokwasów przez łańcuchy peptydowe do cząsteczek. Musiało upłynąć wiele tysięcy lat, zanim powstała synteza złożonych związków białkowych, które w postaci roztworów koloidowych*) znajdowały się w wodach oceanu. Wyodrębnione z otoczenia koloidalnego pojedyncze kropelki białkowe, tzw. koacerwaty, mogły, według Oparina, znaleźć się na drodze ewolucji do najprostszych istot żywych. Kropelki

*) Roztworami koloidowymi nazywamy takie, w których cząsteczki materii zawieszone są w płynie i wyraźnie od niego odgraniczone.

koacerwatu o ładunkach elektrycznych przeciwnych, przyciągały się nawzajem i łączyły ze sobą, nie mieszając się jednak z otaczającym płynem, tak jak protoplazma wyciśnięta z komórek roślinnych do wody, nie miesza się z wodą, lecz ostro się od niej odcina. Stwierdzono doświadczalnie, że kropelki koacerwatu mogą wychwytywać z otoczenia i przyswajać różne substancje. Tym sposobem zmieniają swój skład chemiczny. Oczywiście, nie wolno iść za daleko w wyciąganiu wniosków z tych istotnie biologicznych zjawisk zachodzących w koacerwatach. Jednakże można sobie wyobrazić, że pewna część koacerwatów w pierwotnych oceanach mogła pod działaniem jakiejś siły mechanicznej, czy też wskutek zmiany napięcia powierzchniowego, zacząć się dzielić na kropelki potomne, o podobnej budowie fizykochemicznej, inne zaś, o gorszej zdolności do wzrastania i przyswajania znikały, zgodnie z prawem doboru naturalnego. Stopniowo, koacerwaty stały się zdolne do takich przemian i takich czynności, które wskazywałyby na ich przynależność do świata istot żywych i które na wcześniejszym stopniu rozwoju były niemożliwe. Dalszy rozwój tych pierwszych ciał białkowych odbywał się zgodnie z prawami biologicznymi.

NA POGRANICZU MATERII MARTWEJ I ŻYWEJ

Jakby dopełnieniem do teorii Oparina, stały się współczesne badania nad najmniejszymi istotami żywymi, nad wirusami.

Już Pasteur przewidywał, że wściekłą powodują jakieś zarazki tak małe, że ich w żaden sposób nie można było zauważyć pod najsilniejszym powiększeniem mikroskopu. Nie można było również spostrzec zarazków ospy i odry, a także zarazków choroby pyska i racie u bydła. Chore zwierzęta miały na słuzówce pyska, nozdrzy liczne pęcherzyki, z których sączyła się ciecz niesłychanie zaraźliwa. Pierwszy Pasteur nazwał domniemane zarazki — wirusami. Nieznana również przyczyna powodowała liczne schorzenia roślin. Wiadomo było tylko, że niektóre owady są przenosicielami choroby z zarażonej rośliny na zdrową. Objawy choroby były wyraźne: liście żółkły i zasychały, lub też pokrywały się słuzowatą warstewką. Na liściach tytoniu występowały żółte plamki, które z zielonymi polami — wolnymi od schorzenia, tworzyły jakby mozaikę. Stąd nazwa choroby: mozaika tytoniowa. Niewidzialne zarazki powodo-

wały również schorzenia pomidorów, ziemniaków, cebuli, ogórków, buraków, trzciny cukrowej i mnóstwa roślin ozdobnych.

Wiadomo, że bakterie dają się hodować na sztucznych pożywkach. Jednak próby hodowania w ten sposób powyższych chorób roślinnych nie dały rezultatów. Można więc było postawić dwa wstępne twierdzenia, co do hipotetycznych zarazków wirusowych: 1) wirusy — o ile istnieją, nie są dostrzegalne przez zwykły mikroskop; 2) nie można wirusów hodować na sztucznych pożywkach, gdyż rozwijać się mogą tylko na żywych organizmach.

W roku 1892 rosyjski badacz, Iwanowski, zastosował gęste filtry z porowatej porcelany, do oddzielania bakterii od płynu. Bakterie pozostawały na sączku, a przesączony płyn nie wykazywał już żadnych drobnoustrojów. Natomiast wirusy okazały się zarazkami przesączalnymi, gdyż przefiltrowany płyn był nadal zaraźliwy. Stąd zostało wysnute trzecie twierdzenie: 3) wirusy są zarazkami przesączalnymi. Minęły cztery dziesiątki lat. Problem wirusów zdawał się być beznadziejny. Nie umiano sobie technicznie poradzić z oddzieleniem wirusów od płynu. Dopiero w roku 1932 angielski badacz, Elford zastosował sączki z kolodjum (gęsta, rozciągliwa masa otrzymywana z bawełny), o porach jeszcze mniejszych niż w porcelanie (wielkość ich była obliczona z dość dokładnym przybliżeniem). Cała masa wirusa pozostała na sączkach, a przefiltrowany płyn stracił zaraźliwość. Można było, znając przybliżone wymiary porów, określić granice wielkości wirusów, w zależności od tego, przez jakie pory przechodziły, a przez jakie przesączać się nie mogły. Tak więc wirus ospy ma średnicę 120—170 milimikronów, czyli milionowych części milimetra; wirus mozaikowy poniżej 50 milimikr.; wirus zarazy pyska i racie zaledwie 8—12 milimikr. Ten ostatni wymiar zbliżony jest do wymiarów wielkich drobin białka, mających około 5 milimikronów średnicy. Wniosek, jaki się nasuwa na podstawie rozpatrywania tych wielkości, jest bardzo ważny; okazuje się, że wirusy są cząsteczkami o wymiarach pośrednich pomiędzy największymi drobinami chemicznymi a najmniejszymi komórkami.

Wiemy, że każda komórka przedstawia się jako wysoko zorganizowana jednostka biologiczna, składająca się z cytoplazmy, substancji jądrowej, z błony itd., oraz że potrafi oddychać, odżywiać się, wzrastać; że jest wrażliwa na bodźce zewnętrzne, że może się rozmnażać. Zdawałoby się więc, że życie powstaje dzięki złożonej

organizacji, z licznych martwych składników chemicznych (wody, białek, cukrów, substancji tłuszczowych i soli mineralnych). Tymczasem wirusy okazały się tak małe, że nie sposób umieścić w nich złożonych części, decydujących najmniejszą choćby żywą komórkę.

W roku 1935 odkrył Stanley kryształ wirusa mozaiki tytoniowej. Kryształ wirusa okazały się czystym białkiem. W świecie naukowym zapanało wielkie zdumienie, można bowiem krystalizować martwą substancję, np. sól lub cukier, ale żeby żywe istoty mogły przybierać postać kryształów, tego jeszcze nikt nie przypuszczał. Z dalszych doświadczeń wynikało, że po rozpuszczeniu takich kryształków wirusowych zmieniają się one z powrotem w istoty żywe. Odkrycia Stanley'a pozwoliły na sformułowanie następującego twierdzenia: zarazkiem wirusowym jest białko, ale to białko wykazuje cechy zarówno istoty żywej jak i martwej materii. Takiego białka chemia dotąd nie знаła.

Mówiliśmy już, że żywych wirusów nie można oglądać pod mikroskopem ze względu na prawa optyki. Zdawać by się mogło, że nigdy nie będziemy wiedzieć, jakiego kształtu są pojedyncze wirusy. A jednak odkrycie promieni elektronowych o fali niesłychanie krótkiej roz-

wiązało nieiziszczalny, jak się zdawało, problem „zobaczenia” wirusów. „Zobaczenia” — dlatego napisałem w cudzysłowie, gdyż w istocie nikt nigdy nie oglądał wirusów bezpośrednio własnymi oczami, lecz tylko na fotografii otrzymanej przy pomocy mikroskopu elektronowego. Pomiarzy czynione na fotografii wykazały, że laseczki wirusa, np. mozaiki tytoniowej, są długości 165 milimikronów. Mogą się końcami łączyć w długie nitki lub skupiać się równolegle w pęczki, tworząc kryształki.

Podsumowując wyniki tych niezmiernie ważnych obserwacji, możemy określić wirusa nie jako żywy organizm, lecz jako żywą drobinę białka: 1) pobierającą składniki z otoczenia, 2) drobinę, która rośnie i rozmnaża się, 3) może ulegać zmienności pod wpływem warunków otoczenia. Zaobserwowano już około 50 odmian wirusa mozaiki tytoniowej. Jedna drobina wirusowa składa się z przeszło 3 milionów atomów. Na powstanie białka wirusowego złożyło się 20 różnych rodzajów aminokwasów, budowa jego jest niesłychanie skomplikowana i jeszcze niedostatecznie poznana. Badania są dopiero w zaczątku. W każdym razie dziś już możemy umieścić wirusy na granicy świata materii żywej i martwej.

F R A S Z K I

TADEUSZ POLANOWSKI

O WĄTPLIWOŚCIACH

Nie kryj swych wątpliwości,
Oto ich dobra strona:
Kto sam nigdy nie wątpił,
Nikogo nie przekona.

ZASADNICZA TRUDNOŚĆ

„Samodzielność myślenia” — tę instrukcję
ścisłą
Jak wypełnią ci, którzy w ogóle nie myślą?

EGZAMIN

(zdarzenie prawdziwe)

Gdy do ZMP Staś chciał wstąpić, pono
Ciężki egzamin chłopcu urządzono.
Zdawał z tysiąca różnych cytów i dat
I już sukcesu bliski był kandydat.
Ale niestety: w końcu odwalili,
Bo na pytanie, co wie o Manili,
Staś odpowiedział, że smaczna i chrupka.
A tam coś knuła podżegaczy grupka,

Z czego pakt powstał, nazywany SEATO!*)
Odpadł więc chłopak, nie przeszedł przez sito.

Osądźcie sami (nie brak takich kwiatków!):
Kto egzaminu nie zdał w tym wypadku?

*) South East Asia Treaty Organisation —
w skrócie SEATO, po angielsku wymawiane
„silo”.

Sprawa nadal otwarta

JAN MAJECKI

22 listopada 1954 roku. Posiedzenie Prezydium Zarządu Łódzkiego ZMP, z udziałem — jak zwykle — zaproszonych osób. Tym razem zaproszono członków prezydium ZD - Śródmieście i byłego przewodniczącego tegoż zarządu — Jana Nowaka.

Twarze zebranych wyrażają napięcie i skupienie, bo też sprawy, jakie się tu dziś omawia, są nader poważne i... przykre. Referuje je towarzysz Popiel, kierownik wydziału organizacyjnego ZŁ. Mówi powoli, spokojnie, podkreślając niektóre słowa szczególnie mocno, aby im dodać wagi:

— Komisja Zarządu Łódzkiego ZMP, badająca ostatnio sytuację w ZD-Śródmieście stwierdziła karygodne, niedopuszczalne fakty... W dokumentach ZD znaleźliśmy 526 deklaracji i ankiet zetempowców nie ujętych w ogóle w spisie ewidencyjnym. Znaleźliśmy wiele ankiet i deklaracji w ogóle nie rozpatrywanych, nie omawianych na prezydium Zarządu Dzielnicowego. W ich liczbie znajdują się: 37 deklaracji ze szkoły TPD Nr XVI, 30 deklaracji z Zakładów im. Tadka Ajzena, 47 deklaracji z Zakładów im. Niedzielskiego... 49 dziewczętom i chłopcom, urodzonym w latach 1933 — 38, odmówiono przyjęcia do organizacji dlatego tylko, że pracowali w różnych instytucjach, a nie w zakładach produkcyjnych..., 69 deklaracji i ankiet bezpodstawnie i w niedopuszczalny sposób anulował samowolnie Nowak, bez decyzji prezydium ZD ZMP...

— Wśród pracowników ZD ZMP-Śródmieście — mówi dalej tow. Popiel — panuje bezduszny, biurokratyczny stosunek do młodych ludzi i ich spraw. Przez długie miesiące, albo wcale, nie załatwiano różnych spraw dzieciątek dziewcząt i chłopców, zetempowców i nieorganizowanych, z jakimi zwracali się oni do ZD... Komisja stwierdza, że największą winę za taki karygodny stan ponosi Nowak, były przewodniczący i członkowie pre-

zydium ZD-Śródmieście, którzy do tego dopuścili. Komisja...

„Litania” popełnionych grzechów jest dosyć długa. Długo je Popiel wylicza podając cyfry, fakty, przykłady — wyliczają je i dyskutanci. Zabierają głos towarzysze ze Śródmieścia — Gliksmann, Szenówna, Chudy — uznając i swoją winę, swoje „niedopatrzienia”, potępiają Nowaka. Podnosi się również „główny oskarżony”, Nowak:

— Towarzysze, przyznaję się, zawiniłem... Bałem się objąć stanowisko przewodniczącego... mówiłem ewidencyjnej, Szenównie, iż ma w ewidencji bałagan, ale ona...! Rozumiem, może nie nadaję się na kierownicze stanowisko, ale uwzględnijcie, towarzysze, moją czteroletnią pracę w aparacie, długoletnią działalność w organizacji... Chyba będę mógł jeszcze pracować?...

Prezydium ZŁ nie uwzględniło prośby Nowaka, postanowiono usunąć go z aparatu ZMP i odesłać do pracy w produkcji.

Nowak opuścił głowę. Zdawało się, że jest mocno wstrząśnięty, przygnębiony. Po chwili podniósł się, zapytał:

— Czy nie wyrzucicie mnie z mieszkania, któreście mi ostatnio przydzielili? Bo to służbowe... Nie? No to dziękuję.

I wyszedł. Opuścili salę również pozostali goście, zaproszeni na ten punkt porządku dziennego. Prezydium odetchnęło z ulgą i przeszło do omawiania następnej sprawy. Sprawa Nowaka została „zamknięta”.

Czy naprawdę zamknięta?

✱

Jerzy Chabelski, przewodniczący Zarządu Łódzkiego ZMP, uważnie i wnikliwie wysłuchał mojego zdania na temat Nowaka. Kiedy mówiłem, siedział spokojnie za biurkiem. Gdy skończyłem, wyszedł zza biurka i nerwowo przemierzał swój pokój. Zaczął mówić, mocno popierając gestem i mimiką prawie każde swoje słowo.

— Poniosło cię, mówisz, ruszyło... Chcesz o tym napisać? Nie radzę... nie wiem, czy to będzie słuszne...

— Ciekawy jestem — ciągnął dalej — co ty byś zrobił na moim miejscu z takim, na przykład fantem. Otrzymujemy alarmującą wiadomość od naszych pionierów, wymagającą natychmiastowej interwencji. Trzeba tam jechać. Proszę do siebie jednego kierownika wydziału, wyjaśniam sprawę, proponuję by zaraz wyjechał. Odmawia. „Nie mogę, nie jestem przygotowany, źle się czuję“. Wzywam drugiego. Też odmawia. Tłumaczy się, żoną, teściową — diabli wiedzą czym jeszcze. Wykręca się, czuję to. Bo podróż w nocy, możliwe są kłopoty, trudności, których się boi. Myślałem, że mnie szlag trafi. Do ludzi jednak ktoś musiał jechać. Telefonuję tedy do jednej z fabryk, proszę do siebie przewodniczącego zarządu zakładowego.

— Słuchaj, Fabiszewski — mówię mu prosto z mostu. Taka a taka sprawa. Trzeba jechać. najdalej za dwie godziny (a jest już późny wieczór). Pojedziesz? Będziesz mógł?

— O czym tu mówić — zachnął się. — Trzeba, to się jedzie. Dajcie delegację...

I pojechał. Pomyślałem o dwóch naszych odpowiedzialnych pracownikach i o pionierach, którym tam nie łatwo żyć. Przedstawiłem sobie i jednym i drugim. Błado wypadli moi dwaj towarzysze pracy...

— Albo inny przykład — Jurek sypał przykładami jak z rękawa. — Byłeś w ZD Polesie? Byłeś. To widziałeś chyba, ile tam codziennie mają nasi pracownicy spraw do załatwienia, trudności, kłopotów. Wyobraź sobie, że posyłamy tam na kilka dni naszego instruktora, żeby pomógł, doradził. A on? „Przekazuje“ nasze wskazówki, obserwuje, przygląda się, „bada“ i w niczym palcem nie rusza. Wiadomo — „figura“ z wyższej instancji. Wraca ci taki po kilku dniach i na naradzie „oznajmia“ gromkim głosem: „towarzysze, stwierdziłem... Tam jest z tym i z tym źle, dużo braków“ itd. A co on sam zrobił, żeby pomóc w naprawieniu zła, w usunięciu braków? Nic. Bo co jego w gruncie rzeczy obchodzi organizacja dzielnicowa, nie czuje się za nią odpowiedzialny, nieczym się zlekoboko nie przejmując, nie lubi się przejmować.

A jest drugi instruktor, który też przyjrzał się sytuacji w dzielnicy, też badał ją,

ale nie trąbił na wsze strony o swoich „odkryciach“, nie wołał z rozpaczą, że jest źle. Tam, gdzie trzeba było powiedział o swych uwagach, ale przede wszystkim sam pracował za dwóch, pomagał we wszystkim, nie był obojętny wobec żadnych zauważonych błędów. Zresztą nie tylko o instruktorach można tak mówić. Mamy takich kierowników wydziałów, którzy jakoś ograniczenie, po urzędniczemu interesują się i to czasem bardzo kiepsko — tylko swoimi wycinkowemu „zadaniami“, bo nic ich ponad to nie obchodzi.

Głos Jurka zmienia się. Jest w nim sporo złości i ironii.

...Wiesz, że w Łodzi nie łatwo o mieszkanie, nawet byle jakie. Nasi pracownicy mieszkają jednak na ogół po ludzku. Dużo sił i energii pochłania nam troska o zapewnienie ludziom znośnych a nawet niezłych warunków bytu. To powinni cenić, a jednak... Nie tak dawno „wydębiliśmy“ z wielkim trudem dość wygodne, ładne mieszkanie dla jednego z pracowników ZŁ. Pojechał je objąć w posiadanie. Wraca i oświadcza: „nie przyjmuję, dajcie lepsze“. „Dlaczego?“ — pytamy. „Podłoga brudna, nie podoba mi się“. Myślałem, że nie wytrzymam nerwowo... ale wytrzymałem. Nie dostał tego mieszkania. Dostał je nasz nieetatowy aktywista, który z żoną oraz dzieckiem musiał się gnieździć w paskudnym pomieszczeniu. Przyszedł nam dziękować ze łzami w oczach z radości i wzruszenia... No i teraz, z tym Nowakiem To już znasz...

Po chwili przerwy Jurek dodał.

— Jednak nie radzę ci pisać o nim. Bo poważna większość naszych młodych towarzyszy — i w Zarządzie Łódzkim, i w zarządach dzielnicowych, i w szkolnych czy fabrycznych organizacjach zetempowskich — to ludzie dobrzy, oddani bez reszty sprawie, kochający młodzież, duszą i ciałem związani z organizacją. Weź choćby Laskowskiego, Borowską... — tu zaczął wylizywać serię nazwisk. — O nich trzeba pisać, nie o takich jak Nowak.

Piszę jednak o Nowaku, bowiem wydaje mi się, że warto.

*

Nowak. Kim jest ten człowiek? Syn robotnika, sam był przed czterema laty robotnikiem w ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego i Łódzkich Zakładach Jedwabniczych. Członek

ZWM od 1945 roku. Od 1951 roku członek partii. Zanim rozpoczął pracę w aparacie zetem-powskim, pracował społecznie i to prawdopodobnie dosyć aktywnie na różnych funkcjach zetem-powskich, od przewodniczącego koła począwszy do aktywisty zarządu dzielnicowego włącznie.

„Jest oddany pracy organizacyjnej. Poziom ideologiczny dobry... Związany z nami klasowo” — czytamy w charakterystyce Nowaka z 1951 roku, wydanej przez Zarząd Dzielnicowy ZMP — Bałuty.

„... Z pracy swojej wywiązuje się dobrze. Jest pracownikiem zdyscyplinowanym, koleżeńskim, lubianym wśród otoczenia. Posiada zmysł organizacyjny, potrafi odpowiednio pracować z młodzieżą. Jest trochę nerwowy, co często nie pozwala mu się zbliżyć do kolektywu. Ma perspektywy (!) pracy w aparacie. Strona moralna nie budzi zastrzeżeń. Politycznie wyrobiony dobrze” — czytamy w innej charakterystyce, wydanej trzy lata później przez Zarząd Łódzki ZMP.

Cp prawda, trudno treść tej charakterystyki zrozumieć, konfrontując ją z rzeczywistością. No, bo z jednej strony jest on rzekomo lubiany przez młodzież, a z drugiej „nerwy” nie pozwalają mu zbliżyć się do kolektywu. Z jednej strony — posiada „perspektywy pracy w aparacie”, z drugiej — zostaje z aparatu usunięty. No i ta „strona moralna” nie budząca zastrzeżeń. Co to znaczy? Czy o „stronie moralnej” człowieka decyduje tylko jego stosunek do kobiety (jak mówi kierownik wydziału kadr ZŁ) lub to, że wie, kiedy, gdzie i ile wypić?

Gnębi człowieka „stary świat”. Ten „stary świat” w naszych warunkach — to stare, obecne nam stosunki, które jeszcze nas otaczają, które tkwią jeszcze mocno — w mniejszym lub większym stopniu — w świadomości wielu ludzi. W Nowaku to „stare” często uzyskiwało przewagę, zwyciężało. A kiedy stare nawyki, przyzwyczajenia, poglądy zwyciężają w aktywiście zetem-powskim, wtedy stacza się on do poziomu mieszczaucha. Tak było z Nowakiem.

Zacznijmy od „drobiazgów”, które lepiej nam rzecz wyjaśnia. Choćby od sprawy mieszkania (nie tego, w którym teraz mieszka, wcześniejszego).

Nowak się ożenił, z aktywistką zetem-pow-

ską. Chciał zamieszkać z żoną. Zrozumiałe. Po wielu tarapatach towarzysze z ZŁ mówią mu: „masz mieszkanie; trochę wysoko, na IV piętrze, ale jest winda”. „Nie wezmę — Nowak na to — za wysoko”.

Fakt drobny, ale wiele znaczący. Ludzie, którzy znają bliżej Nowaka mówią, że wcześniej byłby z takiego mieszkania bardzo uradowany, lecz kiedy był już przewodniczącym organizacji dzielnicowej, czy to wypadało zamieszkać w takim sobie, pierwszym lepszym mieszkaniu? „Muszą dać lepsze, jak chcą, że-bym u nich pracował”. No, i rzeczywiście, dali.

Ostatecznie, mógłby ktoś powiedzieć, że takiego drobnego wypadku można nie zauważyć, albo nie zrozumieć od razu jego znaczenia. Może być i tak...

Różnymi drogami dochodziły do kierownictwa łódzkiej organizacji sygnały, że źle się dzieje w ZD — Śródmieście: Nowak odbiera ludziom wszelką chęć do pracy, Nowak nie uznaje kolektywu, Nowak jest ordynarny, arogancki, Nowak tłumi krytykę, tłumi wszelką inicjatywę ludzi, odnosi się do nich po chamsku; Nowak się nie uczy, nie potrafi pracować z młodzieżą robotniczą (a z jaką potrafi?) itd.

Wszystko to tłumaczono „nerwowością”, to-le-sowano, przemilczano. O tej tolerancji świadczy przebieg i rezultat jednego posiedzenia prezydium ZD, gdzieś z połowy ubiegłego roku. Członkowie prezydium odważyli się wówczas — chyba po raz pierwszy śmiało i otwarcie krytykować swego przewodniczącego, „wygarnąć mu” — jak to się zwykło mówić — całą prawdę. Nowak nie pozostał obojętny na krytykę. Zbił ją za wszelką cenę argumenty, usiłował przekrzyczeć wszystkich, wreszcie uniósł się, zaperzył i omal nie wrzasnął: „Zarząd Dzielnicowy — to ja! Obecni na prezydium towarzysze z ZŁ starali się go ostudzić. Pod ich naciskiem „uznał” krytykę, przyznał krytykującym rację. A po zakończeniu posiedzenia oświadczył!

— Musiałem to zrobić, żeby mi dali spokój. Obrady by się przeciągnęły...

Tak więc, „krytyka swoją drogą, ja swoją”. Na wspomnianym prezydium ZD aktyw domagał się zabrania od nich Nowaka, odebrania mu funkcji przewodniczącego, prze-

niesienia do innej pracy. Owszem, zabrano go, proponując go na stanowisko zastępcy kierownika wydziału w Zarządzie Łódzkim, zasyłając do Zarządu Głównego ZMP cytowaną na początku charakterystykę z 1954 roku.

Czy na tym koniec? Gdzież tam! Jeszcze i ten ostatni wypadek nie otworzył oczu kierownikom łódzkiej organizacji.

Gdzieś na miesiąc przed opisywanym na wstępie posiedzeniem prezydium ZŁ ZMP, Komitet Łódzki Partii zwrócił się do Zarządu Łódzkiego ZMP z propozycją: „skierujcie do nas kilku najlepszych waszych towarzyszy, którzy pójdą po przeszkoleniu do pracy w aparacie partyjnym na odcinku wiejskim. Rozumiecie, robotnicy muszą pomóc budować socjalizm na wsi”. Wiceprzewodnicząca ZŁ, towarzyszka Mikuć poprosiła do siebie Nowaka i w serdeczny sposób zaczęła z nim rozmawiać, naprowadzając powoli rozmowę na myśl zasadniczą, na sprawę pracy w partii. Wtedy on, nie czekając końca rozmowy, wybuchnął: „nie reflektuję do pracy w aparacie partyjnym! Nie próbujcie mnie nawet agitować!”.

Wieloletni aktywista, pracownik zetempowski, szermujący na lewo i na prawo słowami o miłości do partii, o potrzebie aktywnego udziału w walce o socjalizm na najtrudniejszych frontach, o szczytnej roli służenia ojczyźnie, „nie reflektuje” pójść do tej pracy, do której rwie się, dąży, którą za największą nagrodę uważa prawie każdy aktywista, nie tylko pracownik aparatu ZMP.

Pytano Nowaka, czym tłumaczy swoją odmowę. Odpowiedział: „Mógłbym zostać nawet kierownikiem wydziału w ZŁ i dałbym sobie radę, ale w aparacie partyjnym za ciężko”. Strach przed nowym i przed zmianą zasiadającej już, bądź co bądź, dosyć wygodnej pozycji na nieznaną, na pewno nie tak wygodną, kierował — zdaje się — taką a nie inną odpowiedź Nowaka.

Szlifierzami diamentów, rzeźbiarzami młodych serc i umysłów nazwano kiedyś aktywistów zetempowskich. Zajrzyjmy do którejśkolwiek pracowni rzeźbiarskiej — artysty. Przyjrzyjmy się jego pracy. Z jaką miłością i oddaniem ją wykonuje. Ileż miłości i natchnienia wkłada w każdą rzeźbioną przez siebie postać! Czy z taką samą miłością, dokładnością,

pietyzmem my potrafimy rzeźbić charakter młodych ludzi? I co najważniejsze: czy w szeregach ludzi, których nazywamy aktywistami zetempowskimi, znajdują się ci, co być powinni — ci właśnie rzeźbiarze z prawdziwego zdarzenia, a nie intruzi? Czy są to ludzie chociażby z jakimś zadatkami na tego rodzaju „artystów”, czy bez tego „zadatku”?

Powiedzieć sobie trzeba prawdę — są jedni i drudzy. Obok prawdziwych aktywistów, których ofiarny, pełen poświęcenia trud przy sparza chluby całej organizacji, mamy i takich, którzy są zaprzeczeniem miana aktywisty, zanieczyszczają nasze „podwórko” drobniomieszczańskimi śmieciami. Obok ludzi wysoce ideowych nie brak wśród nas dorobkiewiczów, karierowiczów, ludzi bezideowych, przypadkowych, nie mających nic, albo niewiele wspólnego z ideą organizacji, z treścią pracy, którą się im przez pomyłkę powierza.

Stąd niezbędne jest ciągłe zmiatanie naszego „podwórka” ostrą miotłą. I trzeba było w końcu Nowaka wymieść. Ale sprawa nie tylko w zmiataniu, lecz przede wszystkim w doborze i wychowaniu ludzi, kadr zetempowskich. Sprawa w tym, żebyśmy sobie zawsze stawiali pytanie — co wart jest i co może zrobić człowiek, którego stawiamy na to czy inne stanowisko w organizacji, wszystkim jedno na jakim szczeblu.

Szczególna, osobliwa jest praca zetempowska. Szczególny to zawód — działacza, aktywisty zetempowskiego. Osobliwy jest przedmiot i produkt jego pracy. Czy może ktoś zaprzeczyć, że dzieło, jakiego w naszej pracy zetempowskiej dokonujemy, jest piękne? Czy może ktoś nie przyznać, że tworzenie tego dzieła jest czynnością najpiękniejszą ze wszystkich, godną najwyższego uznania i dumy? Czy nie uważalibyśmy za największą karę pozbawienie nas prawa wykonywania naszego „zawodu”, tej szczególnej, jakże nieraz uciążliwej, trudnej, czasem nawet niewdzięcznej — nade wszystko jednak kochanej pracy?

Mówimy, że wtedy człowiek pracuje do brze, kiedy kocha swą pracę, kiedy oprócz swych umiejętności wkłada w nią również swoje serce. I jeśli mówimy o potrzebie umiłowania każdej pracy, to ta potrzeba, ta mi-

(dokończenie na str. 37)

SŁUSZNE CZY FAŁSZYWE OSKARŻENIA

Rzecz o kłopotach wychowawczych organizacji zetempowskiej
na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego

Eleonora Salwa mówi o „Problemie Barbary“

BARBARA za kierunek swych studiów obrała — filozofię. Wybór nie był przypadkowy. Barbara wiedziała, że te studia umożliwią jej wszechstronny rozwój zainteresowań.

Już na pierwszych ćwiczeniach z marksizmu czy materializmu dialektycznego Barbara jasno i szczerze wyrażała swoje wątpliwości dotyczące poruszanych zagadnień. Wnosiła do naszej grupy (nie tylko ona) atmosferę dyskusji, szczególnie konieczną na tego typu studiach.

Ale, moim zdaniem, dyskusja daje tylko wówczas dobre rezultaty, kiedy obie strony dyskutujące uważają się za równe, uważają, że albo jedna albo druga zrezygnuje — jeśli przekona się, że nie ma racji — ze swojego uprzedniego stanowiska. Tymczasem Barbarą nie chciała się liczyć nie tylko z argumentami kolegów ale i argumenty asystenta nie były dla niej wystarczające. W zarozumiały sposób upierała się, że jej stanowisko jest jedynie słuszne. Nie chciała nawet na sekundę pomyśleć o tym, że nie ona lecz grupa czy asystent mogą mieć rację. To zarozumiałstwo na punkcie swojego własnego zdania prowadziło do „akademickich“ dysput przypominających wiersz Adama Mickiewicza „Golono“, strzyżono“.

Czy należało kontynuować tego rodzaju dyskusje? Większość z nas a także asystent uznaliśmy, że nie, chociaż wszyscy byliśmy oczywiście zgodni co do tego, że studiujemy filozofię nie po to, by uczyć się na pamięć gotowych formulek. Wyrażenie „twórcze studiowanie marksizmu“ zawierało dla nas zrozumiałą treść.

W związku z „ambitniacką“, nie zetempowską postawą Barbary podczas wspomnianych długich dyskusji stanął przed nami, przed całym kołem ZMP problem, czy Barbara może i powinna studiować filozofię marksistowską. Stanęły przed nami pytania:

Gdzie kończy się pasja naukowa, a zaczyna mętniaństwo, gdzie kończą się wątpliwości a zaczyna sianie fermentu, gdzie nieświadomość, a gdzie wrogość? Być może, że przesadna była ta czujność, jednak czujność stała nas wszystkich obowiązującą.

Każdy z nas po swojemu odpowiadał na te pytania. Ostatecznie aktyw koła ZMP wypowiedział się za pozostawieniem Barbary na studiach filozoficznych, darząc ją tym samym dużym zaufaniem i kredytem, z którego miała się rozliczyć przed organizacją poprzez pracę nad sobą.

Stało się jednak inaczej. Barbara odsunęła się od nas. Dawną pasję do dyskusji zamieniła w pasję milczenia i to nie tylko na zajęciach ale i na zebraniach zetempowskich. Wytworzyła wokół siebie atmosferę, z której zionęło chłodem, znudzeniem, obojętnością, brakiem szczerości. W ten sposób powoli od nowa narastał i nabrzmiewał „problem Barbary“.

Niektórzy członkowie ZMP poczęli się zastanawiać nad jej postawą, wysnuwać podejrzenia. Często było w tym wiele przesady i zbyt daleko idących domysłów. Wiele osób z grupy, z koła podejmowało rozmowy z Barbarą. Byli wśród nas również koledzy, którzy darzyli Barbarę szczerym młodzieńczym uczuciem miłości i dlatego tym bardziej chcieli wnieść w jej życie naszą radość, wyrwać Barbarę z nudy i zubożnienia. O ile mi wiadomo, to żadnemu z nich nie powiodło się ani w miłości ani w pracy wychowawczej.

Usunąć na zawsze chwasty utrudniające wzrost młodej roślinie można tylko poprzez wyrwanie ich razem z korzeniami. Jakież to korzenie zatruwały soki młodemu organizmowi? Główne źródło ich pożywienia to mieszczańskie środowisko, w jakim Barbara wyrosła. Wyniosła ona z niego wybujały indywidualizm, wyniosłość, zarozumiałstwo, skłonność do przerzucania się z jednej skraj-

ności w drugą, pogardliwy stosunek do ludzi o niższym poziomie intelektualnym. Te ujemne cechy przesłaniały nieraz wszystko to, co w Barbarze było cenne.

Barbara uczyła się i uczy bardzo dobrze, ale w tych naukowych sukcesach zabrakło jej perspektyw, celu. „Po co i dla kogo się uczyć? Kto z tego zechce korzystać?” Barbara, wychowana zdala od codziennych trosk o chleb, o życie, zdala od zmagania, trudności i wysiłków narodu, nie mogła czuć się potrzebną. Życie знаła tylko z książek. Przeczytała ich o wiele więcej niż nasz kolega Józek, który w każde letnie i jesienne popołudnie musiał paść krowy, więcej niż Jurek, który przez kilka lat w swej młodości musiał stać przy warsztacie ślusarskim. Start nasz był nierówny pod wieloma względami. Józek, Jurek, wiele innych osób z naszego koła zetempowskiego, z grupy studenckiej, walcząc o zaspokajanie codziennych materialnych potrzeb mniej mieli czasu dla potrzeb duchowych. Dopiero dzisiaj mogą w pełni je zaspokajać. Ale życie nie pozostało im dłużne. Uczyło surowej prawdy. Dla wielu z nas było jedynym źródłem wiedzy o świecie.

Taka „szkoła“ oczywiście pomagała nam w przyswajaniu sobie marksizmu-leninizmu. Teoria ta była dla wielu z nas pieśnią o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Barbarze brakło tej szkoły życia i stąd brało się u niej teoretyzowanie, szukanie problemów tam, gdzie ich nie było, stąd naginanie życia do formułek logicznych, stąd nuda i obojętność wobec wszystkiego tego co innych porывało za serce. Sama wiem z własnego doświadczenia, że jeśli choć na krótki czas odrywałam się od aktywnej pracy społecznej, wówczas zaczynałam się czuć niepotrzebną, źle było mi wtedy i nudno żyć. Tymczasem Barbara nie odczuwała potrzeby pracy społecznej, odsunęła się od niej i dlatego czuła się tak niepotrzebną i znudzoną.

Wysunęliśmy kandydaturę Barbary na organizatora grupy zetempowskiej. Chcieliśmy jej w ten sposób pomóc, związać ją z nami, jej pustkę napęłnić bogatą treścią i problematyką naszego życia, jej nudę wewnętrzną zamienić w radość. Barbara odmówiła przyjęcia proponowanej funkcji, odrzuciła naszą chęć pomocy uważając ją za niewłaściwą. Pozostała ślepa, głucha i obojętna na to, co się działo w grupie, w kole zetem-

powskim. Kierowała się zasadą: „idź swoją drogą, a ludzie niech mówią, co chcą”. Ta zasada, w innych warunkach słuszną, w naszych była parawanem dla mieszczańskiej indywidualności, niechęci do kolektywu.

Błędem byłoby sądzić, że Barbarze było dobrze na tej „swojej drodze”. Każdy młody człowiek pragnie żyć w kolektywie przyjaciół. W dobrym kolektywie czuje się dobrze, od złego ucieka. Barbara w naszym kolektywie czuła się źle. Rola „wychowywanej” przez kolektyw zupełnie jej nie odpowiadała. Barbara nie chciała przyznać organizacji zetempowskiej przynależnego jej prawa — prawa do wychowywania.

Sprawa Barbary kosztowała nas dużo czasu, troski i nawet nerwów. Nie było w trzyletniej historii naszego koła drugiej takiej sprawy, która by tak mocno zaangażowała wszystkich członków koła, zmusiła każdego z nas do zajęcia stanowiska, do wyciągnięcia z tej sprawy wniosków dla siebie. Na kilku zebraniach zetempowskich i poza zebraniem prowadziliśmy ożywione dyskusje nad postawą Barbary. Gorące to były zebrania. Padły różne propozycje, różne argumenty. Ostra ale serdeczna była krytyka błędów. Barbara obrażała się na naszą krytykę, posądzała nas o wrogi stosunek do jej osoby, o chęć pogwałcenia jej. Na trzecim czy czwartym zebraniu zetempowskim poświęconym sprawie Barbary, zmęczeni tą dwuletnią historią i zdenerwowani już trochę „kożupartą” postawą Barbary, postanowiliśmy w stosunku do niej wyciągnąć wnioski organizacyjne. Większość koła — i ja do niej należałam — głosowała za udzieleniem nagany za całokształt postawy.

Nielatwo mi było głosować za „ukaraniem” Barbary. Od najmłodszych lat Barbara była moją przyjaciółką, łączyło nas i łączy wiele wspomnień z dzieciństwa i dlatego tym trudniej było mi podjąć decyzję. I tak trudno jest o tym pisać.

Barbara początkowo chciała uciec od nas, od naszego kolektywu. Nie lubiła nas do głębi. Za co? Kiedy Barbara chciała się od nas oddalić, myśmy się do niej zbliżyli. Powierzyliśmy jej szereg odpowiedzialnych zadań. I Barbara została z nami. Choć w teorii nie zgadzała się i do tej pory nie zgadza się z naszą decyzją, w praktyce wzięła się tak szczerze po zetempowsku do roboty. Praco-

wała w hotelu robotniczym, pomagała całej grupie w przygotowaniach do egzaminu z logiki, obecnie aktywnie pracuje w ekipie łączności miasta ze wsią, aktywnie pracuje w kołach naukowych. Ofiarną pracą zmazuje ze swojego konta i sumienia zetempowską naganę. W toku pracy Barbara nabiera doświadczenia, uczy się i zmienia. Choć oczywiście dużo ma jeszcze do nadrobienia, sama czuje i my to czujemy, że Barbarę wiąże już z nami rozlega, mocna więź.

Trudno jest w niedużym artykule napisać o człowieku, napisać wszechstronnie, jasno i serdecznie. O wiele łatwiej byłoby wykorzystać ten temat w powieści o studentce, o jej wewnętrznych przeżyciach, wadach, troskach

i trudnościach i o tym jak nasza zetempowska organizacja pomagała jej w przezwyciężeniu tych trudności, jak wyprowadzała ją na szeroką, wiodącą do nas drogę.

Wierzę, że Gałczyński pisałby na ten temat równie pięknie jak w poemacie „Agnieszka”. Powiedziałby Barbarze tak:

*Rozumiem, trudny twój czas
i ciężka twa godzina
ale wiedz, że jesteś wśród nas,
zrozum, że jesteś przy nas*

*Ludziach patrzących daleko
i jasnych jak pęk promieni.
My właśnie, Agnieszko, dlatego
jesteśmy niezwykcyżeni.*

Barbara Zatrzyb wysuwa silne kontrargumenty

POLEMIKA ze stanowiskiem koleżanki Salwy w sprawie, którą nazywa ona „problemem Barbary” byłaby rzeczą równie łatwą, jak bezcelową. Łatwą — bo przedstawione w jej artykule perypetie zarozumiałej, „kozloupartej” drobnomieszczanki w kolektywie „ludzi patrzących daleko” są dobroduszną i trochę naiwną karykaturą moich własnych trudności życiowych, których opisanie podjęła się autorka tego artykułu. Bezcelową zaś — bo roztrząsanie szczegółów tej raczej nietypowej i wygasłej już sprawy przyniosłoby niewiele pożytku. Dlatego rezygnuję z polemiki. Chciałabym natomiast podzielić się z czytelnikami „Walki Młodych” pewnymi uwagami na temat pracy wychowawczej organizacji, przy czym tzw. „mój problem” posłuży mi tylko jako materiał ilustracyjny.

RAZ JESZCZE — O PRAWIE DO WĄTPLIWOŚCI

Jest to temat, o który — zwłaszcza ostatnio, w związku z szeroką dyskusją nad pracą organizacji zetempowskiej — kruszyło kopie na łamach prasy wielu autorów. Prawo do swobodnego wypowiedzania myśli nurtujących człowieka, do ujawniania swoich wątpliwości, jest sprawą wartą częstego poruszania. mimo — a może nawet tym bardziej — że trudno byłoby znaleźć kogoś, kto by na serio kwestionował to prawo w całości. Dla pracy organizacji zetempowskiej pełna realizacja

tego prawa jest zasadniczym warunkiem oddziaływania wychowawczego na młodzież.

Ze sprawą tą wiąże się zagadnienie czujności, wymagającej odróżniania wątpliwości ideologicznych od prób wzbudzania fermentu ideologicznego. I tu zaczynają się nieporozumienia stanowiące dość częste zjawisko w pracy organizacji. Gdzie istnieje granica między wątpliwościami a „wrogą robotą”? Ustalenie tej granicy raz na zawsze, niezależnie od konkretnej sytuacji jest rzeczą prawie niemożliwą. Aktywiści zetempowscy — młodzi ludzie, zwykle gorąco oddani sprawie organizacji, ale najczęściej bardzo niedoświadczeni i trochę „hurra-rewolucyjni” — niemal z reguły granicę tę przeprowadzają w sposób poważnie ograniczający prawo do szczerego ujawniania wątpliwości, a nawet — prawo do pytań. Fałszywie pojęta czujność staje się źródłem zupełnego braku zaufania do ludzi, powoduje niekiedy w środowisku szczerze ideowej młodzieży szkodliwą, chorobliwą skłonność do „szukania wroga” za wszelką cenę — zbyt często za cenę demagogicznych, krzywdzących oskarżeń.

Chwila wstąpienia na studia związana była z pewnym przełomem w moim życiu. Miałam już wtedy za sobą trzyletnią przynależność do ZMP i sporą praktykę organizacyjną w postaci pracy na kilku kolejnych funkcjach — od sekretarki koła klasowego do przewodniczącej zarządu szkolnego ZMP. Wstąpiłam do organizacji mając lat 14 i z właściwą temu okresowi życia bezkompromisowością

przekreśliłam za jednym zamachem wszystko, co — jak sądziłam — stawiałoby pod znakiem zapytania moją przynależność do ZMP: od wiary w prawdziwość religii aż po uwielbienie dla twórczości Sienkiewicza i Żeromskiego. Przeczytałam kilka niewielkich, przypadkowo wybranych dzieł marksistowskich i — uznałam się za stuprocentową komunistkę.

Trzy lata pracy w organizacji szkolnej stopniowo przekonały mnie zarówno o istnieniu luk w moim światopoglądzie, jak i o wątpliwej wartości niektórych „bezkompromisowych” zasad, które początkowo wyznawałam. Powoli dochodziłam do wniosku, że aby być komunistą trzeba nie tylko wierzyć w marksizm, ale i rozumieć go. Przekonały mnie o tym moje dyskusje z ludźmi o odmiennym światopoglądzie, którym nie umiałam udowodnić słuszności swoich przekonań.

Wstąpiłam na studia filozoficzne. Postanowiłam studiować tak, aby wszystko, czego się uczę, samodzielnie przemyśleć i przyjąć dopiero wtedy, gdy wszelkie wątpliwości zostaną usunięte. Przejawszy się tym postulatem szukałam niekiedy przysłowiowej „dziury w całym” — wśród zgłaszanych przeze mnie wątpliwości wiele było takich, które należało skwitować uśmiechem. Ale reagowano na nie inaczej: niektórzy koledzy z mojej grupy studenckiej oraz asystenci prowadzący z namu zajęcia stopniowo nabierali przekonania, że jestem ideologicznie obca, a moja obecność na wydziale filozofii jest co najmniej niepożądana. Odbyło się zebranie, na którym w tajemnicy przede mną radzono nad moim losem. Ostatecznie pozostawiono mnie na studiach; był to podobno ów wyraz „głębokiego zaufania” i „kredytu”, z którego, jak pisze koleżanka Salwa, nie wyliczyłam się przed organizacją.

Równocześnie wśród moich kolegów utrwaliło się przekonanie, że nie można mi powierzyć żadnej poważniejszej pracy społecznej, gdyż jestem „słaba politycznie”.

Popelniałam wtedy niewybaczalny błąd. Zaskoczona niespodziewanym obrotem sprawy nie zrobiłam nic dla wyjaśnienia fałszywej sytuacji, w której się znalazłam. Odsunęłam się od kolektywu, zamilkłam na zajęciach, ambicja nie pozwoliła mi zażądać pracy społecznej. Zaczęłam się nudzić. Jedynym przed-

miotem, który nie przestał mnie interesować, była logika, którą mogłam zrozumieć, bo pytania zgłaszane na zajęciach z tego przedmiotu nie skłaniały nikogo do poddawania w wątpliwość mego oblicza politycznego.

Tak narodził się i zaczął nabrzmiewać „problem Barbary”, do rozwiązania którego rok temu przystąpiło koło zetempowskie przy II r. wydziału filozofii U.W.

Sprawa ta wydaje mi się przykładem niebezpiecznego lewactwa w pracy organizacyjnej. Czyż słusznie postąpiono, kwalifikując pytania i wątpliwości (najczęściej bardzo drobne, dotyczące jakichś szczegółów, lub nawet — tylko poprawności pewnych sformułowań) zgłaszane przez rozpoczynającego studia, siedemnastoletniego człowieka, jako wyraz wrogiego oblicza ideologicznego? Odpowiedź nie nasuwa chyba wątpliwości.

JAK NIE NALEŻY WYCHOWYWAĆ

Dystans między większością grupy studenckiej a mną rósł coraz bardziej. Dzielły nas zainteresowania naukowe, dzieliła praca społeczna, której oni mieli często ponad siły, a ja — niemal wcale, dzielił wreszcie mur wzajemnej niechęci i nieufności.

Pierwsze próby zlikwidowania tego dystansu poczynili na własną rękę niektórzy aktywiści zetempowscy. Zaczęto mnie „wychowywać” zachowując pozory osobistej przyjaźni. Te sztuczne próby „przyjaźni” w celach wychowawczych rychło zawiodły, ujawniając swój bardzo nieprzyjemny, misjonarski charakter.

W chwili, gdy mnie sprawy grupy niemal całkowicie przestały interesować, a sama grupa traktowała mnie z pobłażliwą ironią — niespodziewanie zaproponowano mi objęcie funkcji organizatora zetempowskiego. Odmówiłam. Wiedziałam, że jest to ze strony członków grupy jedynie nowy „środek wychowawczy”, nie zaś — dowód zaufania i szacunku, bez których pełnienie tej funkcji nie ma szans powodzenia. Powiedziałam o tym otwarcie. Podjęłabym się chętnie każdej innej pracy: tej propozycji przyjąć nie mogłam.

Moja odmowa oburzyła większość członków grupy zetempowskiej. Wysunięto wniosek o udzielenie mi nagany organizacyjnej za uchylenie się od pracy społecznej. Wniosek ten zatwierdzić miało zebranie koła. Zapo-

czątkowało ono serię wiclogodzinnych zebrań w tej sprawie; na ostatnim z nich przegłosowano wniosek o udzielenie mi nagany z ostrzeżeniem — już nie za odmowę przyjęcia funkcji organizatora, gdyż w tej sprawie przyznano mi słusność — lecz za „całokształt postawy”.

Trudno określić atmosferę tych zebrań; była ona bardzo niejednolita. Obok nieprzeniesianych, często zupełnie bezpodstawnych zarzutów padały pod moim adresem słuszne uwagi krytyczne, podyktowane troską o dobro organizacji i moje własne. Ton nadawały jednak zebraniom wypowiedzi ludzi zirytowanych — owych byłych pseudoprzyjaciół, którym się nie powiodło ich szlachetne misjonarstwo i autorów niefortunnego projektu przydzielenia mi funkcji organizatora.

Skala stawianych mi zarzutów była niezwykła: od wymysłów na moją głupotę i szczeniactwo, poprzez przypisywanie mi wszystkich możliwych obciążeń burżuazyjnych aż do zasadniczego zarzutu „wrogości wobec klasy robotniczej i pracującego chłopstwa”. Równie urozmaicona była lista wniosków. Proponowano kolejno: udzielenie mi upomnienia, nagany, nagany z ostrzeżeniem, usunięcie z ZMP, a nawet — usiłowano mnie skłonić do wystąpienia z organizacji z własnej inicjatywy.

Krytkowano również stosunek grupy do mnie, ale... Właśnie. Tu zwykle następowało jakieś „ale“, usprawiedliwiające grupę ze względu na moją postawę.

Staralam się być obiektywną. Trudno mi — nawet dziś — ocenić, w jakim stopniu udało mi się to osiągnąć. Przyznawałam się do wielu błędów, wśród nich — do najpoważniejszego: do zlekceważenia opinii członków koła o mnie wtedy, gdy sprawa zaczynała nabrzmiewać, do przerostu ambicji, który spowodował, że nie domagałam się pracy społecznej. Mówiłam również szczerze o swoich pretensjach do grupy i ostro reagowałam na niesprawiedliwe zarzuty.

Samokrytyki mojej nie przyjęto. Właśnie ze względu na mój rzekomy upór i niechęć przyznania się do swoich błędów udzielono mi nagany.

Zakończenie tej sprawy miało pewną zasadniczo dobrą stronę: przydzielono mi pra-

cę społeczną, która zainteresowała mnie i związała na nowo z pracą organizacji.

Już w bieżącym roku akademickim koło postanowiło anulować udzieloną mi nagana. Trudno rozstrzygnąć, w jakim stopniu przyczyniły się do tego zmiany zasile we mnie, a w jakim — zmiana stanowiska grupy co do słuszności zeszłorocznej krytyki i celowości nagany. Nie jest to zresztą istotne.

Przebieg akcji wychowawczej, której byłam przedmiotem, opisałam ze względu na pewne charakterystyczne sytuacje, świadczące o poważnym niezrozumieniu wychowawczej roli organizacji i nieznaomości środków, którymi posługiwać się można w oddziaływaniu na człowieka. Zarówno nieszczerą przyjaźń, jak i zadeklarowane zaufanie nie zdoła zastąpić w pracy wychowawczej przyjaźni prawdziwej i rzeczywistego zaufania. Krytyka, którą częstokroć uważa się za „bojową“, gdy jest wyolbrzymiona, budzi protest i niechęć krytykowanego, zaś wymaganie, aby samokrytyka była równie „bojowa“ jest źródłem obłudy i dwulicowości w życiu organizacyjnym.

I wreszcie główny problem: sprawa poczucia odpowiedzialności za każdy krok na polu pracy wychowawczej. Nie wystarczą dobre intencje; aby wychować, trzeba umieć wychowywać. Przebieg rozwiązania przez koło zetempowskie mojej sprawy dostarcza — jak sądzę — tysiąca przykładów niewłaściwego doboru środków wychowawczych. Wpłynął on nie tylko na nikły efekt akcji wychowawczej lecz także na intencje samych młodych wychowawców. Zirykowany, zapominali stopniowo o swych dobrych chęciach przyjęcia mi z pomocą, traktując całą sprawę jako walkę między jednostką a kolektywem, w której — za wszelką cenę — zwyciężyć powinien kolektyw.

I jeszcze jedno: więcej skromności, koledzy aktywiści, pretendujący do miana wychowawców! Mniej „autorytatywnych“ i „bezapalcyjnych“ sądów o ludziach, których znacie powierzchownie i o których opinie urabiacie sobie na podstawie domysłów. Więcej — stanowczo więcej — codziennego, szczerzego, koleżeńskiego zainteresowania ludźmi, których chcecie i macie obowiązek wychowywać.

W MOJEJ ROLI

DANUTA JAKUBIAK

Wiceprzewodnicząca ZP ZMP w Kościanie

BARDZO często rozmawiałam z wiceprzewodniczącymi zarządów powiatowych a także z instruktorami ZW o pracy i roli wiceprzewodniczącego ZP, bo — w myśl założeń — wiceprzewodniczący odpowiedzialny jest za propagandę, szkolenie, za pracę kulturalno - oświatową, świetlicową, sportową oraz podczas nieobecności przewodniczącego zastępuje go.

Takie ogólne określenie roli wiceprzewodniczącego jest słuszne, ale nie wystarcza. Określa ono ogólnie rolę i zadania wiceprzewodniczącego, ale nie wskazuje bliżej całego splotu zadań drobnych, które nieraz potrafią tak pochłonąć człowieka i zająć mu tyle czasu, że doprawdy nie ma kiedy pomyśleć o sobie, o swoich sprawach. Wydaje mi się przede wszystkim, że słusznym byłoby jakoś szerzej porozmawiać na łamach „Walki Młodych“ o pracy wiceprzewodniczących ZP.

POCZĄTKOWE TRUDNOSCI

Kiedy obejmowałam funkcję wiceprzewodniczącej ZP zdawałam sobie sprawę, że będę musiała włożyć wiele wysiłku, dużo uczyć się, aby podolać obowiązkowi. Byłam w tym szczęśliwym położeniu, że znałam sytuację w powiecie kościańskim, ponieważ uprzednio pełniłam tutaj funkcję kierownika wydziału szkolno - harcerskiego. Niemniej jednak w pierwszym okresie napotkałam na spore trudności. Wynikały one przede wszystkim stąd, że cała praca propagandowa ZMP w Kościanie leżała. Nie wiedziałam zrazu, od czego zacząć. Chwytałam za wiele spraw na raz, to za szkolenie zetempowskie, to znów za upowszechnianie czytelnictwa, odczyty, prenumeratę prasy itd. Biegałam z posiedzenia na posiedzenie, telefonowałam, pisałam pisma, a praca propagandowa w powiecie ani drgnęła. Wydaje mi się, że ten brak umiejętności chwycenia za najważniejszą sprawę występuje u wszystkich, a przynajmniej u większości obejmujących pracę wiceprzewodniczących ZP. Można o to mieć pretensje do prezydium ZP, ale przede wszystkim do Zarządu

Wojewódzkiego, a szczególnie do wydziału propagandy ZW, który niedostatecznie pomaga wiceprzewodniczącym ZP, zwłaszcza na początku ich pracy. Ze mną, na przykład, kiedy obejmowałam tę funkcję, dosłownie nikt nie rozmawiał i nie wskazał, jak mam pracować, czym się zająć i jak sobie zorganizować robotę. Gorąco pragnęłam wtedy pomocy. Niestety nadaremnie. Odpowiedziano mi: macie instrukcje, wytyczne... Istotnie instrukcje, terminarzyki miałam aż za dużo, ale one nie mogły zastąpić żywego słowa, mądrej rady bardziej doświadczonych towarzyszy.

Powoli sama poczęłam się otrząsać z tych drobnych kłopotów. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że rola wiceprzewodniczącego ZP nie polega na bieganiu z instytucji do instytucji, na osobistym załatwianiu wszystkich spraw i na dość przypadkowych wyjazdach w teren, nie wiele różniących się od wyjazdów instruktorów. Wiceprzewodniczący przecież powinien głównie kierować pracą propagandową wśród młodzieży. A jak to zrobić?...

DOBRY PODZIAŁ

Niektórzy wiceprzewodniczący skarżą się, że są przez przewodniczących spychani do roli kierowników wydziałów, albo nawet instruktorów „Przewodniczący nie dzieli z nimi władzy“ — powiadają. Oczywiście w takiej sytuacji niedobrze czuje się wiceprzewodniczący, a także i przewodniczący. U nas wygląda to inaczej. Ja głównie zajmuję się propagandą i wszystkim, co jest z nią związane. Poza tym jestem wiceprezesem LPZ, wiceprzewodniczącym Komitetu Kultury Fizycznej, członkiem prezydium zarządu TPPR, członkiem komisji kulturalno - oświatowej PRN, członkiem Rady Czytelniczej... Za dużo tych funkcji! Ostatnio dzielę się nimi z aktywistami. Zrobiłam już tak w Lidze Kobiet, gdzie członkiem Prezydium jest obecnie Zosia Suszka. O wszystkich sprawach, które załatwiam, lub które mam załatwić, o wszyst-

kich zadaniach niemal codziennie informuję przewodniczącego. Z kolei on także mnie informuje o swojej robocie. Dzięki temu nie zdarzyło się jeszcze, aby podczas mojej nieobecności przewodniczący nie mógł załatwić spraw, którymi ja się zajmuję, i odwrotnie.

Wyjazdy w teren uzgodniłyśmy tak, że kiedy jedzie przewodniczący, ja zostaję w powiecie. Kiedy zaś ja wyjeżdżam, to przewodniczący jest w Zarządzie. Nadmieniam, że zlikwidowaliśmy ów niesłuszny sposób przydzielania wiceprzewodniczącemu odpowiedzialności za jedną określoną gminę, co poważnie utrudniało mu pracę. Dniami wolnymi podzieliliśmy się z przewodniczącym tak, że jedną niedzielę ma on wolną — wtedy ja idę na wszystkie niedzielne narady, posiedzenia i zebrania — a następną niedzielę ja mam wolną, a on pracuje, bądź bywa na naradach. Nie dotyczy to narad w ZP, na których zazwyczaj jesteśmy oboje i prawie wszyscy pracownicy.

Poważnie ułatwia mi również pracę planowanie roboty. Dotąd robiłam tylko plany dzienne. Doświadczenie jednak uczy, że to za mało, że dzienny plan nie zdaje egzaminu. Zdarzyło mi się przecież, że ten sam dzienny plan przepisywałam w zeszycie trzy i nawet i cztery razy (czyli w poniedziałek, wtorek i w środę). Zamiast więc jakichś żelaznych planów dziennych notuję sobie w kalendarzu tylko niektóre sprawy, które muszę danego dnia załatwić. Opracowuję natomiast plan tygodniowy. To mi pozwala lepiej rozłożyć czas, ujmować pełniej niektóre zagadnienia, i — jak to się mówi — dalej patrzeć; już w poniedziałek mniej więcej wiem, co będę robiła w piątek.

NIE MA PROPAGANDY BEZ AKTYWU

Doświadczenie nauczyło mnie, że moja działalność zależy od właściwego zorganizowania pracy z aktywnym nieetatowym zgrupowanym w 4 kolektywach: szkoleniowym, prelegentów, sportowym i kulturalno-oświatowym. Bez aktywu i umiejętnej pracy z nim nie można w ogóle rozwijać propagandy, kierować szkoleniem, działalnością kulturalną, rozrywkową i sportem. Niełatwo jest odpowiednio zorganizować pracę nad przygotowaniem aktywu. Przede wszystkim duży kłopot sprawiało mi dobór odpowiednich ludzi do kolektywów. Dobierałam ich w ten spo-

sób, że bywając w kołach zwracałam uwagę na aktywniejszych członków ZMP, którym powierzałam różne zadania, wychodzące poza ramy koła ZMP, np. zorganizowanie w sąsiednim kole zespołu czytelniczego albo wieczornicy. Wciągałam do pracy niektórych przewodniczących kół. Wydatnie pomagali mi w tym instruktorzy. Najprzód rozpoczęłam pracę z kolektywem szkoleniowym, zapoznając go z planem pracy Zarządu Powiatowego, z sytuacją w zespołach szkoleniowych i z aktualnymi zadaniami. Wspólnie z kierownikiem kolektywu opracowaliśmy plan pracy oraz przydzieliliśmy każdemu z członków kolektywu po 3 zespoły szkoleniowe. Potem systematycznie organizowałam odprawy, narady i przeróżne zajęcia szkoleniowe. Oczywiście jak to zwykle bywa w życiu, nie wszyscy członkowie kolektywu byli odpowiednio przygotowani i nie wszyscy chcieli pracować. Na przykład, Błajek Józef — początkowo chętny do pracy — już po pierwszym wyjeździe niechęcił się i kiedy wypadło mu po raz wtóry jechać do zespołu, wykręcał się, jak umiał, a potem świadomie zlekceważył robotę. Trzeba więc było z niego zrezygnować. Bo trudno mieć w kolektywie ludzi, którzy nie czują potrzeby być aktywni w pracy w ZMP, którzy stają się wykręcić ze swoich obowiązków.

Inaczej sprawa wyglądała z propagandy — stami M. i W., którzy przy pierwszym wyjeździe w teren napotkali wiele trudności i praktycznie nic nie pomogli zespołom. Starali się więc zwolnić z tych obowiązków. Poprosiłam ich wtedy na dłuższą rozmowę, przekonywałam ich ukazując ważność i odpowiedzialność ich pracy. A kiedy słowa zachęty nie pomogły, postawiłam im wprost pytanie, kto będzie pomagał propagandyście i zespołom w prowadzeniu szkolenia, jeżeli aktywiści nie zechcą; na kim leży ten obowiązek? Poprosiłam ich również aby wskazali odpowiedniejszych aktywistów. Być może, że ktoś oceni to jako chwyt demagogiczny, lecz moim zdaniem nie był to żaden chwyt. Po prostu wierzyłam w tych ludzi i śmiało powiedziałam im, że bez nich nie mogę pracować, że nie widzę nikogo w tej chwili odpowiedniejszego na ich miejsce, że praca w kolektywie jest ich obowiązkiem jako aktywistów. I to poskutkowało.

Postanowiłam jednocześnie, że wyjadę z

nimi w teren. Wydawało mi się, że najbardziej pomocy potrzebuje kolega M. Wyjechałam przeto z nim do zespołu szkoleniowego w Kokorzynie. Podczas zajęcia w tym zespole propagandysta nie potrafił omówić bogactw naturalnych Polski. Zwróciłam się do kolegi M. czy on mógłby mu w tym pomóc. Oczywiście, chętnie się zgodził i wskazał młodzieży, jakimi bogactwami naturalnymi dysponuje nasz kraj. Potem okazało się, że propagandysta nie umie opracować konspektu. Wtedy znów zwróciłam się z tą sprawą do kolegi M., który chętnie pomógł propagandyście opracować niezły konspekt.

W drodze powrotnej rozmawiałam z nim o sytuacji w zespołach, o trudnościach propagandystów, nie wspominając już ani słowa o jego uprzedniej chęci wycofania się z tej pracy. W ten sposób kolega M. pozostał członkiem kolektywu i pracuje do dzisiaj dobrze, o czym mówią sami propagandyści. Podobnie pracowałam z innymi propagandystami.

Przy okazji pragnę zwrócić uwagę na taką rzecz, że niejednokrotnie kolektywy traktujemy jako całość, a nie znamy poszczególnych ludzi, ich umiejętności, stopnia przygotowania, ich kłopotów i trosk osobistych. Okazuje się, że bez dobrej znajomości poszczególnych ludzi nie można dobrze pokierować kolektywem. Nauczyło mnie tego doświadczenie ubiegłego roku. W tym roku poznaję bliżej członków kolektywów. I kiedy mam z nimi odprawę albo szkolenie — to patrząc na poszczególnych ludzi wiem, w czym który jest „mocny”. jakie ma kłopoty, co najbardziej lubi. Wiem, na przykład, że Kuzdowicz podbija serca młodzieży śpiewem i deklamacją wierszy, że Józefowski nie spotyka się z jakimiś trudniejszymi problemami, których nie umiałby rozwiązać. Chętnie podejmuje się nawet najtrudniejszej roboty i można śmiało powierzyć mu każde zadanie. kłopot ma tylko ze „swoją dziewczyną”. Natomiast Pikosz ma poważne kłopoty z powodu chorej matki. Inni także mają swoje upodobania, wyróżniają się w czymś, jedno lubią, inne nienawidzą itd. Taka znajomość ludzi, nie tylko od strony ankietowej, ale przede wszystkim od strony ich życia, kłopotów i zamierzeń ma wielkie znaczenie w pracy. Wiadomo, z czym do kogo iść, jak go zachęcić do roboty, jak mu pomóc, jakie powierzyć zadanie.

Dobór i odpowiednie pokierowanie ludźmi,

aktywem nieetatowym zajęły poważne miejsce w mojej pracy. I dzisiaj wcale nie żałuję, że tak dużo czasu poświęcam ludziom z którymi pracuję. Dzięki temu coraz lepiej radzę sobie z licznymi kłopotami, coraz lepiej kieruję pracą propagandową i...

DOSTRZEGLAM BŁĘDY...

Mimo wszystko nie ustrzegłam się pewnych zasadniczych błędów. Polegały one głównie na tym, że pracę propagandową ograniczałam niejednokrotnie jedynie do kierowania zespołami szkoleniowymi. Wyrazem tego jest chociażby to, że do dzisiaj jeszcze kompletuję dwa kolektywy: prelegentów i sportowy. Innymi problemami propagandy zajmowałam się dorywczo i nieraz bardzo powierzchownie. Praca świetlicowa, czytelnictwo, odczyty, praca z gazetami, popularyzacja przodowników pracy w mieście i na wsi, agitacja polityczna i wreszcie szeroka popularyzacja dobrych doświadczeń i inicjatywy młodzieży — zostały poważnie zaniedbane, a całą propagandę masową spychaliśmy niejednokrotnie do szturmówek i dekoracji. Nie wiedziałam, czym interesuje się młodzież, jakie wśród niej plotki krążą i jak im przeciwdziałać, co jest dla niej niejasne w naszej polityce i jak jej trzeba to tłumaczyć (mówiliśmy o tych sprawach w mieście, na wsi i w szkołach jednakowo według wytycznych ZW). Są to oczywiście błędy nie tylko moje. Można je z powodzeniem znaleźć u wielu wiceprzewodniczących i pracowników ZP, a nawet w ZW, który normował naszą pracę masą instrukcji, terminarzyków i telefonogramów, zwracając głównie uwagę na szkolenie i niestety na ową dekorację i ilość szturmówek na różnych pochodach i uroczystościach. Ale to mnie nie usprawiedliwia. Bo nie po to młodzież mnie wybrała, abym jedynie mechanicznie wykonywała odgórne polecenia i była tylko w stosunku do góry według instrukcji w porządku. Na mnie przecież przede wszystkim spoczywa obowiązek bezpośredniego i codziennego kierowania pracą propagandową w powiecie. I to, na ile zarząd powiatowy, prezydium, będzie zajmowało się sprawami propagandy, ode mnie także w dużej mierze zależy. A propaganda to nie tylko szkolenie, ale cały wa-

(dokończenie na str. 37)

Towarzysz twojej młodości

(O romantyce w pracy komsomolskiej)

W. CZACZIN

S potyka się czasem ludzi starszych, którzy tak oto wspominają o swych minionych czynach komsomolskich:

— Kiedyś, to było! Komitet rejonowy był twoim domem, a komórka komsomolska rodziną. A dziś...

Gdyby pociągnąć takiego człowieka za język, mógłby bez końca opowiadać o bojach minionych, biwakach różnych i „czonowskich“ *) kabinach. Oczywiście, w wspomnieniach swych nie będzie mówił ogólnie o przeszłości, o bronii, czy rusztowaniach wielkich budowli — a o czymś innym. O czym to? — Najczęściej o pełnej patosu i dynamiki romantyce komsomolskiej dawnych dni, niezapomnianych lat dwudziestych i trzydziestych. Trudno wytrzymać, aby nie zapisać takiego narratora?

— A czy teraz nie ma tej romantyki?

— Możliwe, że ona jest, ale jakoś trudno ją zauważyć...

— Cóż to jest romantyka?

Nie pretenduję do dawania pełnego, encyklopedycznego określenia romantyki. Jest ona wszędzie: w pracy, w miłości, w podróży. Romantyka oznacza umiejętność dostrzegania rzeczy wzniosłych, zapału i pasji w każdej sprawie. Romantyka oznacza — umieć znajdować powab, ciekawość nawet w zwykłych, powszednich zjawiskach. Romantyka — to młodość.

Możliwe, że o tym wszystkim nie warto pisać. Nawiązaliśmy już jednak rozmowę i podobne — jak wyżej — westchnienia o byłej „komsomolii“ często wypada wysłuchiwać. Może to wynika stąd, że wszystko minione wydaje się zazwyczaj miłsze, bardziej urocze, stąd, że romantykę, mimo wszystko, trzeba umieć dostrzegać... Może wynika to również z czegoś innego? — z braku iskry, twórczego zapału, czyli — jak mówią —

z „braku serca w robocie“ u niektórych dzisiejszych pracowników Komsomolu. A bez tej iskry, bez tego zapału nie ma romantyki w organizacjach komsomolskich, bowiem od dawna wiadomo, „kto sam nie płonie — ten pożaru nie wznieci“.

ZACZĘŁO SIĘ OD ZBIÓRKI PIONIERSKIEJ

Autorowi tych słów udało się niedawno zapoznać z pracownikami komsomolskimi jednego z komitetów rejonowych stolicy. Sprawa, oczywiście, nie w tym, jaki to rejon, jak się nazywają towarzysze, z kim rozmawiał i zaprzyjaźnił się dziennikarz. Ważne jest coś innego: czym dzisiaj żyje jeden z licznych komitetów rejonowych Moskwy. Nazwijmy go Komitetem Robotniczym.

...Zwykły dzień roboczy. W korytarzu gmachu, w którym mieści się komitet rejonowy, cisza i spokój. Na drzwiach wydziałów tabliczki. Największa z nich na drzwiach gabinetu sekretarza komitetu.

Wchodzicie. Przedstawiacie się, kim jesteście i co wam potrzeba. Mija pięć, dziesięć, piętnaście minut. Dowiadujecie się, że sekretarz jest bardzo zajęty, że musi gdzieś jechać, że lepiej by było przyjść „drugim razem“ — no bo i on nie bardzo zrozumiał co was naprawdę interesuje. Jeśli romantyka — to on sądzi, że równie dobrze będzie mógł się podzielić swoimi myślami przy następnym spotkaniu.

— Pozwólcie, pojedziemy razem.

Sekretarz się śmieje:

— Akurat, to was będzie interesowało... Jadę na zbiórkę...

I oto pierwsza niespodzianka. Któż to się spodziewał, że zacząć wypadnie od pionierskiej zbiórki? I dlaczego śmieje się sekretarz komitetu rejonowego Komsomolu? Czy zbiórka pionierska to nic ciekawego? Czy tu nie ma romantyki

*) Człon-Czastki Osobnego Naznaczenia — specjalne oddziały do walki z kontrrewolucją.

ki? A Pawlik Morezow, a Wołodia Dubinin, a Timur ze swoją drużyną?

„Gładka, asfaltowa szosa. „Moskwić“ daje głośne sygnały. My kontynuujemy rozpoczętą dyskusję. Sekretarza komitetu rejonowego Komsomolu nazywają Mikołajem Piotrowiczem. Wykształcenie? Oczywiście, wyższe. Czy uczy się jeszcze? Obowiązkowo. Inaczej dziś nie można. Opowiada, że z początku nawet nie myślał, że będzie pracownikiem komsomolskim. Miał zamiar zostać prawnikiem. Później pracę komsomolską polubił i... jak widzicie. Za co? Rozumiecie, cały czas obcuje się z ludźmi, każdy dzień przynosi wiele nowego. Komitet rejonowy — to sztab młodzieży...”

Mikołaj Piotrowicz odpowiada ściśle, mądrze, rozsądnie.

— Dlaczego, jednak, tak mało ludzi bywa w komitecie rejonowym?

— Mało?... Ale trzeba było zobaczyć, co się u nas działo, kiedy wysyłaliśmy komsomolców na zagospodarowanie odłogów...

— Przecież nie każdego dnia wysyłacie młodzież na ziemię nieuprawianą?

Milczenie. Mikołaj Piotrowicz patrzy z zakłopotaniem w okienko samochodu. Ręce wsadził w kieszenie eleganckiego paltka i od czasu do czasu rzuca ledwie dostrzegalne, uważne spojrzenie spod runda pilśniowego kapelusza. Jakże niepodobny jest ten sekretarz komitetu rejonowego do przywódców komsomolskich z lat dwudziestych, trzydziestych! Nie ma potrzeby, rzecz jasna, aby sekretarz komitetu rejonowego nosił dziś spaloną przez słońca „budionówkę”^{*)} i kurtkę walcowaną. Rzecz nie w ubiorze, lecz w czymś innym. Za dużo jest sztuczności, napuszonej powagi, oficjalności, a nawet nieprzystępności w całej postaci Mikołaja Piotrowicza. Może tak jest przyjęte w postępowaniu z dziennikarzami? A może z komsomolcami, z młodzieżą, z pionierami Mikołaj jest całkiem innym, czarującym człowiekiem?

Otóż i szkoła. U kogo nie zabije mętniej, raśniej serce, kiedy zobaczy tę wiecznie niespokojną dźwiakę! Chłopcy i dziewczynki mają czerwone chusty, prześliczne, ciekawskie oczęta.

W pokoju nauczycielskim powiedziano Mikołajowi Piotrowiczowi, że na zbiórkę przyjechał sekretarz komitetu rejonowego partii. Zauważy-

łem, że to zaskoczyło Mikołaja. Wchodzimy razem do sali.

„Zbiórka, poświęcona wyborom rady drużyny, rozpoczęła się. W niewielkiej sali tłoczno, z trudem pomieściła przeszło pięciuset uczniów. W przejściach widać twarze wykładawców. Nieustannie uciszają, swawolników wyprowadzają z sali. Wreszcie ucichli i nauczyciele i uczniowie. Tylko dlaczego właśnie teraz, bezpośrednio po napiętym dniu nauki, zorganizowano tę zbiórkę?



— Opóźniliśmy się z tą szkołą — wyjaśnia Mikołaj Piotrowicz — a czas ucieka.

Przy dźwiękach trąbki wnoszą sztandar drużyny. Warto było zobaczyć, jaką poważną, uroczystą minę miał chorąży. Dobrze, chłopczel! Przyzwyczajaj się! Dziś dzierżysz sztandar pionierski, jutro poniesiesz zaszczytny sztandar fabryki, a później — kto wie? — może wypadnie ci nieść mocno w dłoniach sławny sztandar gwardyjskiego pułku. Ucz się cenić to purpurowe płótno — symbol honoru i oddania dla sprawy — tu, w pionierskiej drużynie. Pamiętaj, że w Mauzoleum W. I. Lenina i J. W. Stalina znajduje się sławny sztandar z ostatniej barłkady Komuny Paryskiej, którego dotykały ręce dzieci komunardów francuskich. Ten sztandar jest

^{*)} Budionówka — czapka, jaką nosili żołnierze Pierwszej Armii Czerwonej Budionnego.

również koloru czerwonego. Takie sztandary powiewały na pancerniku „Potiomkin“, na placu przed Pałacem Zimowym i na szczycie Reichstagu w dniu wielkiego zwycięstwa. Możliwe, żeś już o tym słyszał na zbiórkach? Jak widać, nie darmo sięgnąłeś brwi, nie darmo ani drgniesz na swoim posterunku. Ale twoi asystenci z pocztu sztandarowego — dwie dziewczynki — postępują inaczej niż ty. Kręcą się, wiercą, rozglądają. Widocznie mało wiedzą o wielkim zaszczyście stania pod czerwonym sztandarem.

— Na ogół mówimy na zbiórkach o dyscyplinie — rozważa Mikołaj Piotrowicz. Do tych dziewcząt widać to jednak nie doszło.



— A gdyby tak mówić o dyscyplinie łącząc ją z romantyką, tak, aby uczniowie sami pragnęli być zdyscyplinowanymi, aby widzieli w tym szczególnie piękno? — zapytał sekretarz komitetu rejonowego partii.

Mikołaj Piotrowicz mówi, że tak jeszcze nie próbował.

Choć prawie nie było ani jednej zbiórki, na której by nie mówili o dyscyplinie, to mówili jednak za nudnie, za sucho, za sztywno. Przypominali dzieciom, że na przerwach biegać nie powinny, że nie powinny się wiercić na lekcjach i wiele innych rzeczy, których czynić „nie należy“. Tego rodzaju „wskazania“, rzecz jasna, dalekie są od prawdziwej, ciekawej rozmowy. Po

takim marudzeniu nie pasują bojowe, energiczne słowa: „Bądźcie gotowi!“ i „Zawsze gotowi!“.

W tym czasie, kiedy jeden za drugim przemawiali pionierzy, czytając z napisanych kartek, sekretarz komitetu rejonowego partii opowiadał nam o swoich latach pionierskich. Wspominał jedną z niezapomnianych zbiórek. Było to w tym czasie, kiedy do naszego kraju rozpoczęły się pielgrzymki robotników z państw kapitalistycznych. Przyjaciele z zagranicy przyjeżdżali zobaczyć, jak budujemy socjalizm. Jasne, wielu robotników przyjechało po kryjomu, obawiając się przesładowań. Jednego z takich delegatów zaprosili na zbiórkę pionierską. Przed jego wystąpieniem przewodniczka drużyny wyjaśniła dzieciom, że przemówi robotnik z pewnego państwa kapitalistycznego, który przyjechał do nas w tajemnicy. Dlatego trzeba będzie zgasić światło. Prosiła, żeby dzieci siedziały cicho. Oczywiście, nikt nawet nie zakaszał, a kiedy z powrotem zapalono światło, w oczach wielu dzieci były łzy wzruszenia. Nigdy jeszcze z takim natchnieniem nie śpiewano „Powstajcie, fabryki“ — jak tego wieczoru.

I oto teraz ten był pionier, człowiek dorosły, kiedy opowiada o tym, co było wiele lat temu, prawdziwie, szczerze się wzrusza, odmładza się w naszych oczach. Widać, że na całe życie zapamiętał tę zbiórkę, tę salę, w której powiał duch walki klasowej, gdzie była romantyka. Oczywiście, nie zawsze ma się możliwość zapraszać na zbiórki gości z zagranicy. Ale szefów z fabryki można zaprosić? Niechże opowiedzą dzieciom o zakładzie, o tym, jak oni żyli w tym czasie, kiedy sami byli pionierami.

— Ciekawa zbiórka to sprawa ważna i trudna — mówi Mikołaj Piotrowicz. — I nie każdy przewodnik potrafi taką zorganizować.

Zaznaczyć wypada, że nie najlepiej jest z przewodnikami drużyn pionierskich w szkołach rejonu. Wiele jest takich, co nie pracują z powołania, z zamiłowania i w szkole czują się „tymczasowo“. Prawda, są w szkołach dobrzy przewodnicy. Ale — co się często praktykuje — jak tylko się taki człowiek czymś wyróżni, ledwie przejawia inicjatywę i trochę serca w pracy — zaraz zaczyna się zawrotna „wędrówka“: ze szkoły do komitetu rejonowego, z komitetu rejonowego do miejskiego... Coraz dalej i dalej od żywej roboty, coraz bliżej i bliżej telefonów, dyrektyw, „Moskwiczy“, „Pobied“.

Wróćmy jednak do zbiórki drużyny. Jej celem

jest wybrać nową radę. Wiele pionierów po raz pierwszy w życiu wybierają do pracy społecznej. Pierwszy raz! Któż nie wie, że pierwszego wydarzenia w życiu nigdy się nie zapomina. Sam Mikołaj Piotrowicz mówi, że bardziej się przejmował, kiedy go pierwszy raz wybierali organizatorem grupy komsomolskiej, niż kiedy wybierany był sekretarzem komitetu rejonowego Komsomolu.

Dlaczegoż tedy wy, szanowny Mikołaju Piotrowiczu, nie wzruszacie się dżisłaj? Dlaczego ze spokojem słuchacie stereotypowych zdań, czytanych z kartek przez występujących kolejno pionierów, że Pietia Iwanów czy Lusia Drozdowa „dobrze się uczą i, myślę, że nie zawiodą zaufania pionierów”? Dlaczego obojętnie patrzycie, kiedy już od pierwszej poważniejszej czynności dzieci przyzwyczajają się do biurokratyzmu, do szablonu, sztampy? Kto im te kartki napisał? Niech nawet pionierzy nie mówią gładko, płynnie, ale lepiej będzie, jeśli o tymże Pieti czy Lusi będą mówić kolegom ze szkolnej ławy prosto, swoimi słowami. Jak z Pieti towarzyszy? Co czyta? Jak odrósił się do rodziców? Co robi po lekcjach? Krzywdzi czy nie krzywdzi młodszych od siebie?

Zakończyła się zbiórka drużyny. Wybrana została rada i jej przewodnicząca — dziewczynka z szóstej klasy, Lusia Drozdowa. Przewodnicząca wręczyła jej trzy purpurowe wstążeczki. Dziś jeszcze dziewczynka naszyje je na rękaw i od jutra zacznie się dla niej nowe życie.

— Dobrze by było, gdyby ktoś z komitetu rejonowego był dziś u Lusi w domu. Porozmawiałby z matką, cieszył się razem z nią z córki — mówi sekretarz komitetu rejonowego partii.

Mikołaj Piotrowicz patrzy ze zdziwieniem. Jedliśmy w milczeniu. Dopiero przy wysiadaniu z samochodu sekretarz partii ożywił się:

— No, młodzieży, ja do was.

Siedziimy w znajomym gabinecie. Sekretarz partii chodził po pokoju, trze czoło. Czujemy, że zanosi się na większą rozmowę.

O POWADZE I „SERCU W ROBOCIE“

Sekretarz partii zaczął mówić o tym, że często zastanawiał się, dlaczego ludzie nie potrafią znaleźć nic porywającego, pasjonującego w naszym życiu. Nie ma ognia, zapалу? Przecież był kiedyś. Inaczej nie powstałby człowiek pracować do Komsomolu. Może wypacza człowieka stanowisko, warunki, obowiązki? Na ogół wydaje się, że wszystko w porządku. Przeprowadza się zebra-

nia, wieczornice młodzieżowe. A jeśli podejść do tego z trzema pytaniami, z którymi kierownik przystępuje do oceny zjawisk: co? jak? po co?

Najłatwiej odpowiedzieć na pierwsze pytanie: co się robi? Przeprowadza zebrania, organizuje wieczornice itd. Trudniej odpowiedzieć na drugie pytanie — jak? Jak przeszło zebranie? Jaka była wieczornica? itd.

Najtrudniej — po co? W imię czego?

Dlaczego, po co było zebranie? Aby podnieść aktywność młodzieży. To wszystko? Po co była zbiórka pionierska? Odpowiedzą: aby wybrać radę drużyny. Czy tylko po to? A czy nie po to, aby pionier wyszedł z tej zbiórki o stopień mądrzejszy, żeby rozumiał, że jest członkiem kolektywu, wobec którego posiada określone obowiązki i prawa?

Aby to dobrze zrozumieć i potrafić odpowiedzieć na pytanie „po co“, pracownik komsomolski powinien być głęboko myślącym człowiekiem, powinien sam płonąć, aby innych zapalać. Wtedy on rozumie, że każda rzecz może być ciekawa. Wszystko jedno, czy to będzie zbiórka pionierska, czy ochotnicza praca młodzieży przy wykopkach ziemniaków lub wywożeniu nawozu na pola kolchoosowe. Przecież sprawa nie tylko w tym, że trzeba wywieźć nawóz, aby był wysoki urodzaj, a jeszcze i w tym — jak mówił Majakowski — że „raduję się, bo mój trud wlewa się w trud republiki mojej“.

Sekretarz przestał chodzić po pokoju, uśmiechnął się, spojrzał na nas. I naraż, zwróciwszy się do Mikołaja Piotrowicza zapytał:

— Powiedz mi Kola, ile ty masz lat?

— Dwadzieścia dwa, bo co?

— Dużo jesteś starszy od swoich komsomolców?

— Nie, nie dużo.

Sekretarz partii wstał i znów przeszedł się po gabinecie.

— To dlaczego w swoim obcowaniu z komsomolcami zachowujesz się sztywno, oficjalnie, jak starszy jegomość, który cierpi na wątrobę?

— Przecież jestem sekretarzem komitetu rejonowego!...

— A gdybyś nim nie był, zachowywałbyś się inaczej? Występują w tobie jakby dwie postacie: jedna — Mikołaj Piotrowicz, druga — Kola?...

Mikołaj Piotrowicz zaczął poprawiać przybory piśmienne na stole, wygładzać taldy obrusa.

...Po pewnym czasie znów spotkaliśmy się z Mikołajem Piotrowiczem. Nie można powiedzieć,

że już się przeobraził, zmienił... Ale było już coś nowego choćby w samym jego wyglądzie. Śmiał się, żartował.

Z zadowoleniem opowiadał, jak to niedawno dwaj instruktorzy komitetu rejonowego przebywali w jednym zakładzie i co z tego wynikało. A było to tak. Jeden z instruktorów pojechał do zakładu zapoznać się z pracą brygad komsomolsko - młodzieżowych. W zakładowym Komitecie Komsomolu przejrzał spis brygad, wypytał, które z nich wykonują plan, a które nie. Później porozmawiał z jednym z lepszych brygadzystów. Wydawało mu się, że wszystko w porządku, wszystko uwzględnił i może wracać do komitetu rejonowego z jakimiś myślami, wnioskami. Ale tak się tylko wydawało.

Przedstawcie sobie oddział fabryczny. Jest przerwa obiadowa. Instruktor odwołał brygadzystę na bok (dlaczego nie mógł z nim rozmawiać przy wszystkich?), zapytał:

— Jak wam się pracuje?

— Tak sobie, nieźle.

Przerwa.

— W ilu procentach wykonujecie plan?

— W stu trzydziestu.

Znowu przerwa. Jeden nie wie, o co pytać, drugi — czego chcą od niego. Instruktor wezwał, aby „nie obniżać tempa“ i pożegnał się. Brygadzysta przyrzekł: „Będziemy walczyć, bo bierzemy udział we współzawodnictwie“.

Gdzież tu ogień twórczości, romantyki? Dlaczego dobrego, energicznego kierownika brygady młodzieżowej nauczono używać wytartych, szablonowych zdań? Czy nie lepiej by było, gdyby opowiedział prosto, czym obecnie żyje brygada, kto z jej członków odpoczywa na laurach, kto i z jakich powodów przerwał naukę w szkole wieczorowej, jak ludzie pomagają sobie nawzajem w pracy? Kto ponosi winę za to, że o tym wszystkim nie powiedział brygadzysta?

A może początek tego wszystkiego tkwi w zbiorce pionierskiej? Bo ten brygadzysta był przecież kiedyś pionierem. Może i jemu zdarzyło się w swym niezapomnianym pierwszym wystąpieniu mówić z napisanej przez kogoś kartki. Potem przyzwyczaiłem się do tego...

Drugi instruktor postąpił inaczej. Zaczął od domu młodego robotnika. I nie po prostu pochodził po pokojach, popatrzył, w których oknach są firanki, w których ich nie ma. Postanowił pomieszkać kilka dni w tym internacie, razem z młodzieżą. Razem z ludźmi chodził do fabryki, do stołówki, do klubu. Najciekawiej było

wieczorami. Spać się nie chciało. Chciało się z ludźmi porozmawiać o tym, jak dzień przeszedł. Chłopcy mówili i o książkach, i o dziewczętach, i o swoim klubie, i o kierownictwie.

W jeden z takich wieczorów dyskusja toczyła się o filmie „Wielka rodzina“. Młody tokarz, chłopak swawolny, ruchliwy, zaczął „wylewać swoją duszę“:

— Budować okręt — to rozumiem! A ja? Toczę śrubki do jakiejś tam młocarni. Czy wypisze ktoś na niej moje nazwisko?

W pokoju zaczęto się śmiać. Któryś z młodych robotników zaczął udawać, że młocarnie potrzebne są nie mniej niż okręty. Zaczęto mówić o rolnictwie, o komsomolcach, którzy pojechali z tej fabryki zagospodarowywać odlegi. Wyciągnięto listy. A w nich kłosa pszenicy, zasuszona trawa stępową.

Nie przekonany tokarz ciągnął dalej,

— O widzicie, tam jest ciekawie.

— A w twojej pracy, tokarza, nie ma nic ciekawego?

Chłopiec zamyślił się, zaczął rozważać:

— Jest, na pewno. Tacy tokarze jak Byków, Borkiewicz, Czirkiew są laureatami, wszyscy ich znają. W ich zakładach na pewno jest maczej niż u nas. Tam możesz kombinować, wynajdywać — zawsze podtrzymają, póprą, a u nas? Jakas spółdzielnia...

— Czy ty proponowałeś cokolwiek?

Chłopiec beznadziejnie machnął ręką:

— Ech, o czym tu mówić!...

— A coś proponował?

Tokarz waha się, spogląda z niedowierzaniem na towarzyszy:

— Przedstawić oddział na system potokowy,

— No i co?

— Rozmawiałem z majstrem. On uważa, że nie będzie dla mnie przedstawiał maszyn. A czy to dla mnie?

Od tej rozinowy zaczęło się wszystko. Wiele śmiałych wniosków przedstawili instruktorowi młodzi robotnicy. Widocznie często zastanawiali się, myśleli, sprzeczali między sobą, tu w Internacie. Niejeden pomysł umierał już na drugi dzień po dyskusji. Kierownictwo fabryki, jak widać, nie zawsze przysłuchiwało się głosom młodzieży.

Następnego dnia wszystko, co instruktor zanotował, stało się własnością pracowników komitetu rejonowego komsomolu. Ludzie zapłoneli twórczym ogniem, chęcią działania. Iskry wniósł

do komitetu instruktor, Wniósł ją z uczuciem, z pasją, z miłością.

— Czy przypadkowo tak się stało?

Mikołaj Piotrowicz patrzy ze zrozumieniem na mój notes dziennikarski, uśmiecha się z zażenowaniem:

— Pamiętacie rozmowę z sekretarzem komitetu rejonowego partii?

— To znaczy, że ciekawe można znaleźć w każdej sprawie?

— Ale słuchajcie dalej, to jeszcze nie wszystko.

W komitecie rejonowym postanowili przeprowadzić komsomolski raid kontrolny w przedsiębiorstwach rejonu. Nazwali go nieco przydługo, ale za to jasno: „**O wprowadzaniu i wykorzystywaniu nowej techniki i pracy z młodymi racjonalizatorami i wynalazcami**“. Do udziału w raidzie postanowili zaprosić specjalistów nie tylko z przemysłu, ale i z wyższych uczelni technicznych.

Postanowili zacząć od opracowania konkretnego planu dla każdego uczestnika raidu. Bo wiem ważne jest, aby aktywista komsomolski przyszedł do zakładu nie jak wycieczkowicz, lecz żeby słusznie postawił pytanie, wiedział o czym i jak należy mówić, a nie ograniczał się do nawoływania w rodzaju „nie obniżać tempa“.

Pierwsze pytanie, jakie postawione było w planie, brzmiało: „Czy są możliwości zorganizowania w oddziale potokowego systemu produkcji?“ Kierownictwa oddziałów były zdumione: „Skąd ten harmonijny, śmiały nacisk komsomolców?“

Raid podniósł autorytet ludzi biorących w nim udział w oczach ich współtowarzyszy pracy. Wyobraźmy sobie młodego robotnika, który rano, przed pójściem do pracy, mówi swym kolegom:

— Dziś kontroluję zakład. Porozmawiam o szeregu spraw z dyrektorem.

Idzie ulicą taki chłopak ważny, zadowolony z siebie. Jeszcze by! Przecież na podstawie jego wniosków mogą być podejmowane decyzje w komitecie rejonowym Komsomolu, a może i w komitecie rejonowym partii. I chłopak czuje się już nie zwyczajnym szeregowym tokarzem czy ślusarzem, a człowiekiem o dużym państwowym znaczeniu. A to już romantyka!

W komitecie rejonowym partii serdecznie, wnikliwie ustosunkowano się do materiałów z kontroli komsomolskiej.

Obecnie Mikołaj Piotrowicz nie troszczy się

już, tak jak niegdyś, o powagę dla swego sekretarskiego stanowiska. Gdzie tkwi przyczyna tej zmiany? Mikołaj Piotrowicz mówi sam o sobie:

— Interesująca to rzecz — pracować z ludźmi!

Oczywiście, przemiana w Mikołaja nie nastąpiła od razu, po jednej tylko rozmowie z sekretarzem komitetu rejonowego partii. W życiu tak się nie dzieje.

— Po tym spotkaniu w szkole sekretarz komitetu rejonowego partii bywa u nas prawie codziennie — opowiada Mikołaj Piotrowicz. Lubi zachodzić z rana. Przyjdzie, dowie się, jakie mamy plany na dany dzień, posiedzi, pomyśli i zapyta: „A jak to zrobić ciekawiej?“ Od razu na to nie odpowiesz. Trzeba solidnie pomyśleć. I myślimy. Sprzecząmy się, rozważamy propozycje. Pogonił on nas! A gdy znajdujemy ciekawą formę realizacji naszych zamierzeń z niecierpliwością oczekujemy każdego poranka. On mnie nie daje spokoju, ja — innym.

Mikołaj Piotrowicz powiada, że tworczy zapał nie od razu rozgorzeje w ludziach. Dziś jeszcze znajdują się w komitecie rejonowym pracownicy, którzy skarżą się, że są niewłaściwie wykorzystani, że nie nadają się do pracy w Komsomole. Nie przełamiesz ich tak szybko, nie zapalisz z miejsca.

— Poznajcie chociażby naszego kierownika wydziału propagandy i agitacji. Trudny człowiek!

„TRUDNY“ CZŁOWIEK

Po paru dniach poznaliśmy się.

Oto mały epizod, jaki miał miejsce w gabinecie kierownika wydziału propagandy i agitacji. W czasie naszej rozmowy wszedł rosły młody człowiek. W popielatym palcie, w kapeluszu, w białym szaliku. Wszystko na nim nowe, prosto spod igły. Sam przybysz patrzy na świat ufny, oczyma. Widzimy, że nie wie, od czego zacząć rozmowę.

Kierownik wydziału nawet nie zaproponował, aby gość usiadł. Podał mu tematyczny wykaz odczytów.

— Zapoznajcie się z tym planem.

Historyk przysiadł na krawędzi krzesła, zagłębił się w czytanie. W końcu przewrócił ostatnią stronę planu i jakby w czymś zawinił, nieśmiało się uśmiechnął:

— Tu nie ma tego, co by mnie interesowało, o czym ja chciałbym mówić z młodzieżą.

Kierownik wydziału wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „powinniście przecież wiedzieć, że plan jest przesyłany „z góry“. Swoich własnych tematów nie posiadamy“.

Młody człowiek odszedł.

Dlaczego odszedł? Dlaczego młody historyk wszedł do komitetu rejonowego Komsomółu z sercem pełnym wzruszenia i nadziei, a wyszedł rozczarowany, może nawet pokrzywdzony? Może rzeczywiście w tematycznym planie odczytów nie ma tego, co mu leży na sercu, nie ma jego tematu. Ale czy nie można było z nim chociażby porozmawiać serdecznie, dowiedzieć się jaki płomień twórczy goreje w jego duszy? A poza tym — czy komsomolec nie może przyjść do komitetu rejonowego tylko po to, aby się poradzić, podzielić swymi radościami i smutkami, nie koniecznie proponując zaraz swą pomoc?

Wróćmy do odczytów zalecanych ogólnie. W planie tym są tematy różne: „Sen i marzenie senne“, „Problem długowieczności życia człowieka“, „Promienie kosmiczne“, „Czy istnieje życie na innych planetach?“ itd. Są odczyty na tematy gospodarcze — o obniżce kosztów własnych, o podnoszeniu wydajności pracy. Wszystkie na pewno rozszerzają horyzonty słuchaczy, wzbogacają ich. Nie wygłasza się jednak odczytów na wiele innych tematów, chociażby takich: jak najlepiej rozchodować swój rubel, zazdrość to wredna rzecz, że cenić honor należy za młodu, że posiadać własny punkt widzenia — to sprawa niemała itp.

A czy nie trzeba mówić o legitymacji komsomolskiej? Oczywiście, nie w sposób sztywny, nie szablonowo. Takiemu odczytowi i tytuł można dać ciekawy, niecodzienny. Czy za dużo się o tym mówi? Przeciwnie. A jeśli nawet mówi się, to często w taki mniej więcej sposób:

— Dlaczego składek nie opłaciłeś?

— Ojej, zapomniałem! Słowo honoru. Następnym razem zapłacę od razu za dwa miesiące.

— Nie, tak nie można. Albo zaraz zapłacisz, albo będziemy omawiać twoją sprawę.

Po takiej groźbie komsomolec wyciąga portmonetkę i obaj rozchodzą się zadowoleni. Jeden unikał „omawiania“, drugi na czas wypełnił rubrykę w rejestrze. Ot, i cała „romantyka“!

— Opowiedzcie, proszę Was, o jakiejś sprawie, którą organizowaliście z zapalem, z entuzjazmem — zwróciłem się do kierownika wydziału.

Okazuje się, była taka sprawa. Komitet rejonowy Komsomółu polecił kierownikowi wydziału

propagandy zorganizować wyjazd komsomolców na wykopki ziemniaków. Chłopiec z miejsca zapalił się do pracy. Zawsze marzył, aby pracować tam, gdzie najtrudniej, gdzie potrzebny przykład osobisty, gdzie jednych trzeba zachęcać słowem, innych pieśnią poderwać do czynu.

Zaczął od wystąpień na zebraniach. W fabrycznych organizacjach komsomolskich wszędzie szło dobrze. Młodzież zgodnie podchwytywała myśl. Gorzej było z uczniami i urzędnikami. Ci potrafia znaleźć tyle przeszkód! — aby tylko nie pojechać. Pamiętne było jedno zebranie w szkole stenografii. Ma się rozumieć, stenotypistki — naród do łopaty nie przywykły. Manicure, pantofelki, kokardki, buźka malowana — gdzie takim kartofle kopać!

— Trudne to było zebranie — wspomina nasz kierownik wydziału. Ja im mówię o kartoflach, a one chichoczą, porozumiewają się za plecami. I ni stąd, ni zowąd na stole pojawia się kartka. Rozwijam, czytam: „A czy wy sami umiecie kopać kartofle?“ Spojrzałem na salę, śmieją się ze mnie. Bo rzeczywiście, jestem faktycznie inżynierem, kartofli nigdy w życiu nie kopałem. „Nie umiem, lecz pojadę“ — odpowiadam śmiało.

Przestali się śmiać. Zaczęli pytać, o której i gdzie zbiórka, co mają zabrać ze sobą. Aż mi się ciepłej na sercu zrobiło. „No, dziewczęta — mówię — zaśpiewajmy!“ Zaczęły się naradzać, jaką zaśpiewać piosenkę. Czuję, że jeśli zaraz nie zaśpiewamy, dziewczęta się rozejdą, nastrój prysnie. Sam śpiewam słabo. Ale zacząłem pierwszą melodię, która mi przyszła do głowy



— „Pod gorodom Gorki, gdzie jasnyje zorki“. Podchwyciły. Zaspiewały pięknie. Potem już śpiewały same, ja im towarzyszyłem.

Jedna szczególnie pięknie śpiewała. Nie zauważyłem jej początkowo. Podczas zebrania siedziała w kącie sali i milczała uparcie przez cały czas. A kiedy zaczęto śpiewać, widzę, zarumieniła się, oczy jej rozbłyły. Głos ma nie mocny, ale miły. Cały chór jej się podporządkował później.

...Przyjechaliśmy do kolchozu, zaczęliśmy kopać. Nie będę mówił, jak żeśmy kopali. Było, co tylko chcieć. I łyż, i złamane paznokietki, i śmiech, i pieśni... Przewodniczący kolchozu był z nas zadowolony. Z powrotem jedziemy kolejką elektryczną — zmęczeni, wybrudzeni, zachciało się jeść. Patrząc, a moja śpiewaczka nic nie je. Przysiadam i niej, częstuję chlebem z masłem. Dziękuję, odmawia, wreszcie bierze. Siedzimy i żujemy. Wreszcie zapytuje mnie:

— Dlaczego nie mamy własnej pieśni?

Nie zrozumiałem. Zaczęła mi więc zawiłe tłumaczyć, widocznie dawno ją ta myśl prześladowała. Okazuje się, iż ona uważa, że nasz rejon Robotniczy powinien mieć swoją pieśń. Sormowanie mają swoją — „Sormowską liryczną“, leningradzcy, mieszkańcy dzielnicy wyborskiej śpiewają: „Ech, Wyborskaja, zawodskaja maja storona“. A za narwską rogatką śpiewają o młodziencu, który szedł walczyć o ludzkie szczęście.

— Rozumiecie, jakby to było pięknie, gdybyśmy tak wyszli na manifestację z pieśnią o naszej dzielnicy Robotniczej!

Spodobała mi się ta myśl. Dziś komsomolcy ze szkoły muzycznej komponują już melodię do przyszłej pieśni...

Dlaczegoż ten kierownik potrafi znaleźć w jednej pracy urok, zadowolenie, a w drugiej nie? Sam tłumaczy się tym, że go nie pociąga praca na odcinku propagandy.

JESLI SŁOWA PLYNĄ Z SERCA

Czy praca propagandowa ogranicza się jedynie do sporządzania zestawień zespołów szkolenia politycznego i doboru tematów odczytów. Czy praca propagandowa to nie jest praca z ludźmi? Czy to nie pasjonujące nieś do młodzieży namiętne bolszewickie słowa? Jak można bez pasji, obojętnie opowiadać o życiu i historii naszego państwa, o pełnej chwały drodze naszej partii, o jej rewolucyjnej — pełnej romantyzmu i bohaterstwa — walce? Przecież sam

kierownik wydziału propagandy opowiadał mi, z jakim przejęciem czytał powieść Mściławskiego „Szpak — ptak wiosenny“, z jakim napięciem śledził życie i walkę wspaniałego rewolucjonisty Bauman! Czy nie mógłby tego innym opowiedzieć?

Przyglądasz się temu kierownikowi i przykro ci się robi — za niego, i za powierzoną mu sprawę.

Na biurku kierownika — kalendarz. W czasie dyskusji rozmówca mój z rezygnacją przewracał jego kartki, kiwał głową i nie wiedziałem — zgadza się ze mną czy nie.

— Macie niby rację — powiedział wreszcie. — Ale jak byście sami opowiedzieli młodzieży chociażby o takiej rzeczy?

Wskazał datę 18 marca. Pod datą czerwonym kolorem wydrukowano słowa: „Dzień Komuny Paryskiej“.

...Czytelnia uniwersytecka. Cisza. Na brulion padają łagodne promienie lampy stołowej. Schnie atrament na ostatniej stronie konspektu. Książka już też zamknięta. Na okładce fotografia Marksa, niżej tytuł: „Wojna domowa we Francji“.

Praca skończona. Można wstać i pójść. Ale dlaczegoś chce się jeszcze posiedzieć, pomilczeć, pomyśleć...

...Rok 1934. My, dziesięciolatki, idziemy do kina na film dla dzieci, pod tytułem „Fajka komunarda“. Wiem, że chyba nie znajdzie się w Moskwie chłopca, który by nie zechciał tego filmu obejrzeć.



Nieustannie skrzeczy projekcyjny aparat filmowy. Na ekranie pojawia się dym armatni, płonące barykady Komuny Paryskiej. Jeszcze nie wiemy, kto i o co walczy, ale całe nasze gorące uczucia chłopięce są już po stronie ludzi w zwykłych bluzach roboczych. Oni mają dobre, jasne twarze, ciężkie ręce, a najważniejsze — są odważni. Rozumiemy to z pierwszych obrazów. Pojmujemy jeszcze i to, że komunardzi to czerwoni, tacy jak Czapajew, a ich wrogowie — oczywiście, białogwardziści, w rodzaju Denikina.

Na barykadzie zjawia się mały chłopczyk. W rękach trzyma ojcowską fajkę. Bawi się, wypuszcza z fajki bańki mydlane. Obok niego ojciec szykuje broń do walki. Komunardzi poklepują, głaskają chłopczyka, czochoją mu włosy. On się śmieje, poprawia czuprynę. Nad barykadą, mieniąc się promieniami wiosennego słońca, spokojnie płyną bańki mydlane i dźwięczny głos dziecka.

Do boju szykują się również wersalczyzy. Generał obserwuje przez lornetę barykadę i nagle — wzrok utkwiał w jednym punkcie. W owalu lornety widać chłopczyka z fajką w rękach. Generał odwraca się do swej świty i mówi szyderczo:

— Zobaczcie, ci bandyci — komunardzi już dzieci uczą palić.

Wtedy wszyscy, jak jeden, tupiemy nogami, protestujemy:

— Nieprawda, ten chłopczyk nie pali! On się bawi fajką!

Ostatni obraz filmu. Rozbita barykada. Miarowy krok żołnierskich butów. Na bruku leży mały, kędzierzawy chłopczyk. Krew. W zaciśniętej piąstce ojcowska fajka.

(Dokończenie w następnym numerze)



OD REDAKCJI!

Drodzy czytelnicy, pracownicy i aktywiści zetempowscy. W dwóch kolejnych numerach „Walki Młodych” publikujemy bardzo ciekawy artykuł — o romantyce w pracy komsomolskiej.

Czytając, zastanówcie się, czy w naszej pracy zetempowskiej nie brak często tak potrzebnej romantyki, twórczego zapалу, ognia młodzieńczego? Czy nie za dużo jest jeszcze w niej szablonowości, sztampy, nudy? Przecież, pracując z żywymi ludźmi, posiadającymi młode, gorące serca i wiele energii, nie możemy żadną miarą zasłaniać się szablonami czy rezolucjami.

Pomyślcie również, czy nasi pracownicy, aktywiści zetempowscy, oddają się swej pracy wśród młodzieży z pełnym zainteresowaniem i zapalem? Czy ich słowa trafiają do młodych serc? Czy są oni czuli na głosy i żądania młodzieży? Czy zdają sobie sprawę, do czego zobowiązuje ich miano przywódcy, organizatora młodzieży?

Pomyślcie, drodzy towarzysze nad tymi sprawami i napiszcie do nas. Czekamy na Wasze listy.

SPRAWA NADAL OTWARTA

(dokończenie ze str. 20)

łość jest szczególnie niezbędna w naszej pracy, potrzebna szczególnie nam — aktywistom, pracownikom zetempowskim.

Ukochanie pracy zetempowskiej, powinno nam dyktować sposób postępowania, kształtować oblicze i charakter. Rzeźbiarz powinien być godny dzieła, które tworzy. Stąd wniosek — aktywistę ZMP również rzeźbić wypada stale, nieustannie, wnikliwie.

Nowaka nie potrafiono wyrzeźbić, wychować. Być może, nie miał odpowiednich załączników na „artystę”. Ale, że nie zadano sobie z nim wiele trudu — tego zaprzeczć nie sposób. Z tego należy wyciągnąć lekcję na przyszłość. Dlatego „sprawa Nowaka” nie może zostać zamknięta. Ona jest nadal otwarta...

Styczeń, 1955 rok.

W MOJEJ ROLI

(dokończenie ze str. 28)

chlarz form wyjaśnienia młodzieży idei partii, właściwego komentowania polityki w kraju i na świecie, walka z wrogimi plotkami i wreszcie głębokie przekonywanie młodych ludzi, wpajanie im wielkiej idei socjalizmu, prowadzenie szerokich dyskusji w kołach nie tylko według wytycznych i instrukcji lecz przede wszystkim według potrzeb i zainteresowań młodzieży.

Widzę dziś swoje niedopatrzienia i staram się je usunąć.

Oczywiście, aby spełniać dobrze rolę przewodniczącego nie wystarczy umieć planować i znać tylko zagadnienia propagandy, lecz trzeba orientować się we wszystkich pracach zarządu powiatowego ZMP. Trzeba mieć czas na pracę z ludźmi i na własną naukę.

KONFLIKT W CIEŚNINIE TAIWAŃSKIEJ

MAKSYMILIAN BEREZOWSKI

„Podstawową zasadą naszej polityki jest nie prawo, ale strategia... Jeśli dać temu właściwą nazwę — jest to *militaryzm*”.

WALTER LIPPMANN
Amerykański dziennikarz burżuazyjny



W rejonie Taiwanu *) zawsze było gorąco: zwrotnik Raka przebiega przez sam środek wyspy i południowe słońce leje potoki żaru. Ale od jakiegoś czasu temperatura w tej części Azji jest wyższa aniżeli wskazuje termometr: amerykańska „zimna wojna” ustąpiła miejsca gorącej, z tych samych pochodzącej źródeł.

Każdy, kto śledzi za prasą codzienną wypadki rozgrywające się w cieśninie taiwańskiej wie, że Stany Zjednoczone dokonują tam jawnej agresji, że gwałcą suwerenne prawa Chińskiej Republiki Ludowej, różnymi posługując się „argumentami”. Raz jest to „pomoc” udzielana „rządowi republiki chińskiej”, jak szumnie nazywa się czangkaiszekowska klika w urzędowym języku Departamentu Stanu, kiedy indziej — „ochrona interesów i bezpieczeństwa USA”. Ostatnio pojawił się w ustach angielskiego ministra spraw

zagranicznych wybieg „nowego” gatunku. „Nie wiadomo, do kogo należy pod względem prawnym władza suwerenna nad Taiwanem i wyspami Rybackimi” — powiedział Eden, realizując tym samym znaną skądinąd zasadę „jeśli fakty są niewygodne — tym gorzej dla nich”.

*

A fakty wyglądają tak. Pierwsze ślady bytności Chińczyków na Taiwanie odnoszą się do III wieku n. e. W dziewiątym stuleciu rozpoczął się systematyczny napływ emigrantów, którzy osiedlali się na Taiwanie. Na początku XII w. Taiwan podlegał już administracji chińskiej prowincji Fukien, a w 1360 r. otrzymał cesarskiego namiestnika. Do odkrycia Ameryki przez Kolumba brakowało jeszcze równo 132 lata.

Pierwszymi Europejczykami, których żądza kolonizatorskich poszukiwań przywiodła w 1590 r. na wody Taiwanu, byli Portugalczycy. Nadana mu przez nich nazwa Ilha Formosa (Piękna Wy-

*) Obszar wraz z wyspami Rybackimi — 36 000 km². Ludność — ponad 7 milionów, w tym 97 proc. Chińczyków.

spa) przetrwała po dziś dzień w europejskiej nomenklaturze. Warto zaznaczyć, że wśród Chińczyków nazwa ta nigdy się nie przyjęła.

W ślad za portugalskimi żeglarzami przybyli na Taiwan w pierwszej połowie XVII w. Hiszpanie i Holendrzy. Walkę przeciwko obcym najeźdźcom podjęła ludność wyspy. Powstanie ludowe kierowane przez narodowego bohatera Taiwanu Czen-kunga zakończyło się przymusową ewakuacją zaborców.

Ale „Piękna Wyspa“ była zbyt łakomym kąskiem, aby zamorscy kolonizatorzy zrezygnowali z jej zdobycia. Tym bardziej, że walki dynastyczne i trudności wewnętrzne w Chinach ułatwiały im penetrację Taiwanu.

W latach 1841—42 na Taiwanie usiłowali bez powodzenia wylądować Anglicy (równie jak w 1884 r. — Francuzi). W 1852 r. na podbój Dalekiego Wschodu wypłynął komandor amerykańskiej marynarki wojennej Matthew Perry. Wprawdzie głównym celem tej wyprawy była Japonia, jednakże Perry nie omieszkiał zawadzić i o Taiwan, który znalazł w jego oczach uznanie jako (zapamiętajmy to) dogodna baza dla okrętów wojennych USA oraz obfite źródło cennych surowców. Niedługo potem amerykańskie oddziały wojskowe wylądowały na Taiwanie. Przeliczyli się jednak tym razem: wojska ekspedycyjne zostały wciągnięte w głąb wyspy i rozgromione.

To jednak nie zniechęciło Amerykanów. Doszli oni do porozumienia z Japonią, która w zamian za obiecaną pomoc w opanowaniu Taiwanu przyrzekła Stanom Zjednoczonym udział w eksploatacji bogactw wyspy. USA dotrzymały obietnicy: w 1874 r. wspólnie z trzema tysiącami Japończyków do inwazji na Taiwan przystąpiły wojska amerykańskie pod dowództwem gen. Legendre oraz okręty marynarki wojennej USA.

Okupacja japońska nie była trwała. Przyczyniła się do tego i wzajemna rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi: obu konkurentom za ciasno było na wspólnie zrabowanym dobytku. I dopiero w wyniku napaści na osłabione feudalnymi stosunkami Chiny udało się Japonii na podstawie zaborczego traktatu pokojowego z Simonoseki (1895 r.) zagarnąć pod swoją kurtkę Taiwan i wyspy Rybackie.

Rozpoczęła się 50-letnia okupacja. Rabunkowa gospodarka i krwawy terror szły w parze z przekształcaniem Taiwanu w wysuniętą bazę japońskich militarystów. Drakońska polityka w sto-

sunku do zamieszkującej wyspę ludności chińskiej była przyczyną nieustającego wrzenia i powstań. Pół wieku okupacji przyniosło ponad 20 powstań, krwawo tłumionych przez władze japońskie; ponad 500 tysięcy taiwańczyków oddało swe życie w bojach o wolność.

W wyniku rozgromienia militarystycznej Japonii w 1945 r. Chiny uwolnione zostały spod okupacji, a Taiwan i wyspy Rybackie jak również Mandżuria zostały im zwrócone. Na Taiwanie wylądowały wojska kuomintangowskie; terror obcokrajowców ustąpił miejsca terrorowi rodzimej reakcji. Wszystkie postępowe, demokratyczne organizacje zostały rozwiązane; kary śmierci stały się powszechnym zjawiskiem.

Rządy krwawych represji spowodowały wybuch powstania ludowego w lutym 1947 r. Czang Kai-szek po swoim na nie odpowiedział: w porcie Keelung wylądowały dwie dywizje Kuomintangu, które z niespotykanym okrucieństwem rozprawiły się z ludnością Taiwanu. Oto jak rozprawa ta wyglądała w oczach zagranicznego obserwatora: „Żołnierze zdobywając jakąś miejscowość czy dzielnicę mordowali na miejscu każdego, kto im wpadł w ręce — mężczyzn, kobiety i dzieci...”



Gdy zwycięska rewolucja wymiotła do czysta skorumpowane rządy Kuomintangu, z Chin kontynentalnych, niedobitki czangkaiszekowskiej administracji i armii przy pomocy marynarki Stanów Zjednoczonych dostały się na Taiwan.

„Nie można całkowicie porzucić Czang Kai-szeka — pisała wówczas amerykańska gazeta „Christian Science Monitor”. — Jest on jedyną pozostałością wielkich amerykańskich inwestycji w Chinach sięgających jeszcze z zeszłego stulecia...”

Przypominamy sobie zapewne, że rząd USA czynnie zaangażował się w wojnę domową w Chinach już w 1946 r., udzielając wszechstronnej pomocy armii Kuomintangu. 757 okrętów, 1.720 samolotów, ekwipunek dla 166 dywizji — wszystko to rzucił rząd amerykański na szalę, aby powstrzymać zwycięski pochód rewolucji. Byliśmy naoczniymi świadkami nie pozbawionego pikanterii faktu, że Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza gromiła czangkaiszekowców przy pomocy zdobytego na nich amerykańskiego uzbrojenia.

Tak więc, Amerykanie straciwszy bezpowrotnie wspólnie z Czang Kai-szekiem Chiny kontynentalne, kurczowo uczepili się Taiwanu. Pe-

wien dziennik angielski ironicznie nazwał w owym czasie Amerykanów „przewidyującymi pechowcami“; bowiem już w 1947 r. uzyskali oni od Czang Kai-szeka morskie i lotnicze bazy wojenne na Tajwanie.

Jakie przyczyny składają się na szczególne zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Tajwanem?

Rzućmy okiem na mapę Azji. Z północy na południe ciągnie się łańcuch baz, którymi opasali wschodnie krańce kontynentu azjatyckiego. Wyspy Japońskie, Okinawa, Tajwan i Filipiny — oto ogniwa tego łańcucha. Bazy te potrzebne są Stanom Zjednoczonym dla realizacji ostawionej polityki „z pozycji siły“, nadszarpniętej przez niepowodzenia w Korei i Wietnamie. Okupując Tajwan, chcą one przeszkodzić jego wyzwoleniu i utrzymać bazę dla ataków na kontynent chiński. USA nie porzuciły bowiem myśli wydania wojny Chinom Ludowym, których samo istnienie rewolucjonizująco wpływa na Azję i podważa fundamenty amerykańskiego kolonializmu w zachodniej części Oceanu Spokojnego.

Cel ten wyjawili zresztą nikt inny, jak czołowe osobistości amerykańskich kół rządzących. Gen. Mac Arthur przyznał 28 sierpnia 1950 r., że USA „winny sprawować kontrolę nad Tajwanem, aby móc zapewnić panowanie swego lotnictwa nad wszystkimi portami azjatyckimi od Władywostoku (!) do Singapuru“. A prezydent Eisenhower dodał (w lutym br.), że „Stany Zjednoczone nigdy nie pozwolą, ażeby Tajwan wpadł w ręce międzynarodowego komunizmu“.

Nie należy też gubić z pola widzenia faktu, że amerykańskie monopole są faktycznym władcą gospodarki tajwańskiej, z której czerpią niemałe zyski. Tak np. amerykański koncern „Reynolds Metal Co“ kontroluje fabryki aluminium w Kaosungu, „Westinghouse Electric“ — 34 elektrownie, „American Express Co“ — przemysł cementowy, „National Fertilizer Association Co“ — produkcję nawozów sztucznych. Inne monopole opanowały w 60 proc. przemysł cukrowniczy, wszystkie prawie złoża (i ich eksploatację) węgla, siarki, ropy naftowej, wolframu i złota oraz zakłady produkujące olej kamforowy, który jest jednym z największych bogactw wyspy.

Niewzłocznie po zwycięstwie rewolucji chińskiej, w grudniu 1949 r., szereg czołowych polityków USA, m. in. Dulles, Knowland i Hoover otwarcie zażądał aneksji Tajwanu przez amerykańskie siły zbrojne, aby nie dopuścić do jego wyzwolenia. Apetyt ich stało się wkrótce za-

dość. 27 czerwca 1950 r., tuż po wybuchu wojny koreańskiej prezydent Truman wydał VII flocie rozkaz „neutralizacji“ Tajwanu, co w ludzkim języku oznaczało jego okupację. Był to już akt bezpośredniej agresji wymierzony przeciwko Chińskiej Republice Ludowej. Była to brutalne pogwałcenie międzynarodowych układów, na których złożyli swe podpisy przedstawiciele Stanów Zjednoczonych.

Żeby nie być gołosłownym: deklaracja kairska podpisana 1 grudnia 1943 roku przez USA, Anglię i Chiny głosiła, że „wszystkie terytoria, które Japonia oderwała od Chin, jak np. Mandżuria, Formoza i Wyspy Peskadorskie (Rybackie — red.), mają być zwrócone Republice Chińskiej“. Uchwały poczdamskie z 26 lipca 1945 r. stwierdzały, że „postanowienia deklaracji kairskiej winny być wypełnione“. Mało tego. 5 stycznia 1950 roku prezydent Truman oświadczył, że „Stany Zjednoczone nie mają żadnych zaborczych zamiarów względem Formozy albo innych chińskich terytoriów“.

Oświadczenia te dowodzą raz jeszcze, jak niewiele imperialiści liczą się z dokumentami, na których figurują ich własne podpisy — o ile tylko przestaje to być im dogodne. Dopóki liczyli oni, że Chiny będą rządzone przez pozostającego w ich kieszeni Czang Kai-szeka — tak długo honorowali porozumienia. Jak tylko spostrzegli się, że nadzieje ich prysnęły jak bańka mydlana, zaczęli mówić innym językiem i — działać.



W grudniu ub. roku USA zawarły z Czang Kai-szkiem tzw. „układ o wzajemnej obronie“, w którym zobowiązały się do „obrony“ Tajwanu i wysp Rybackich. Był to nowy dowód napastniczej polityki USA, okryty jak dziurawym łachmanem, kilku wyświechtanymi „pokojowymi“ frazesami. W końcu stycznia br. prezydent Eisenhower stanął przed Kongresem i zażądał nadzwyczajnych pełnomocnictw w związku z „zagrożeniem interesów Stanów Zjednoczonych w cieśninie formozańskiej“. W rzeczywistości znalazły tu wyraz obawy, że Chińska Armia Ludowa wyzwoli okupowane przez Czang Kai-szeka terytoria.

Kongres amerykański nie wystawił sobie najlepszego świadectwa zgadzając się na zatwierdzenie przedstawionej przez Eisenhowera rezolucji, która nazywa odległe o 6 000 mil*) wyspy

*) tj. ok. 10 000 km. Od wybrzeża Chin Tajwan odległy jest o 150 — 300 km.

„geograficznym rdzeniem systemu bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych“, która daje prezydentowi wolną rękę w przystąpieniu do działań wojennych w obronie przegranej sprawy Czang Kai-szeka. I nie tylko w razie ataku sił ludowych: tak samo w wypadku stwierdzenia ich koncentracji, jeżeli zdaniem amerykańskich admirałów może to grozić „inwazją Formozy“. Tak więc USA nie zadawałając się mniej lub więcej zamaskowaną interwencją przystąpiły do akcji, które angażują już otwarcie ich siły zbrojne w chińską wojnę domową i przyczynić się mogą do rozpętania pożogi wojennej. Jest to zresztą godna kontynuacja ich poprzednich działań polegających na gangsterskich nalotach na terytorium Chin oraz „opiecz“ nad pirackimi wypadami czangkaiszekowców w cieśninie taiwańskiej.

Podpisaniu agresywnej rezolucji towarzyszyły szumne słowa i buńczuczne przechwałki. Eisenhower teatralnie podpisał rezolucję kilkoma piórami, rozdając je następnie kongresmenom z zaleceniem zachowania ich jako „pamiątek historycznego wydarzenia“. W parę dni później grupa okrętów opuściła amerykańskie porty udając się w kłerynku Tajwanu dla wzmocnienia stacjonującej tam VII floty. Nie zbrakło przy tej okazji nieskromnych pogroźek obliczonych na zastraszenie i głośnej reklamy w rodzaju nazwania VII floty „pierwszą na świecie flotą atomową“ (to znaczy mającą w dyspozycji broń atomową).

Konflikt w cieśninie taiwańskiej powstał z winy Stanów Zjednoczonych, urosł do problemu ogólnoświatowego, przekształcił się ze sprawy wewnętrznej Chin w punkt zapalny o decydującym znaczeniu. Brutalna polityka USA spotkała się z potępieniem najprzeróżniejszych ugrupowań we wszystkich częściach świata. W Indiach, w Burmii i Indonezji odbyły się liczne demonstracje pod krótkim lecz dobitnym hasłem: „Ręce precz od Tajwanu!“ Japoński oficjalny komentator spraw zagranicznych Masahore Hatanaka oświadczył, że Japończycy są „zdecydowanie przeciwni utworzeniu baz wojskowych przez obce mocarstwa w Japonii i w innych krajach azjatyckich... Naród japoński byłby również szczęśliwy, gdyby wysłuchano jego głosu przeciwko mieszanin się obcych mocarstw w wewnętrzne sprawy krajów azjatyckich“.

Głos protestu przeciwko amerykańskiemu awanturnictwu na Dalekim Wschodzie mnożą

się też w Anglii, gdzie szereg burżuazyjnych polityków zdecydowanie potępił ostatnie posunięcia Stanów Zjednoczonych i zażądał stanowczo odseparowania się od nich. Nawet w samej Ameryce można usłyszeć nlekiedy trzeźwiejsze słowa, żądające liczenia się z istniejącą sytuacją. Tak np. „New York Post“ pisał, że w wielu kręgach „podawana jest w wątpliwość słuszność wiązania losów Ameryki z marzeniami Czang Kai-szeka odzyskania kontynentu chińskiego“ a inna gazeta stwierdziła, że „marzenia te są bardziej niż kiedykolwiek marzeniami“. Dodajmy od siebie — ściętej głowy.

Obecnie sprawą Tajwanu znalazła się na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że dopóki delegat ChRL nie zajmie należnego jej miejsca w ONZ i nie zastąpi tam kuomintangowskiego figuranta — Rada Bezpieczeństwa nie dojdzie do żadnych konstruktywnych rozwiązań. Wszelkie zaś próby zalegalizowania amerykańskiej agresji, jaką powstać one by nie przybrały, prowadzą jedynie do wzmocnienia napięcia. W tej sytuacji warto zanotować popartą przez Indie propozycję rządu ZSRR zwołania międzynarodowej konferencji dla pokojowego uregulowania sprawy Tajwanu, która jednak nie znalazła uznania w oczach amerykańskich agresorów i ich popleczników,

*

Konflikt w cieśninie taiwańskiej to jeden z frontów agresji amerykańskiego imperializmu, to fragment jego napastniczej polityki w Azji i na całym świecie; to fragment jego walki z ruchem narodowo-wyzwoleńczym narodów kolonialnych i zależnych.

Ruchy wyzwolenie narodów uciskanych krzepną z dnia na dzień, wzmaga się też walka o pokój, rosną siły państw obozu socjalizmu, raz po raz trzeszczą w szwach sklepane z mozęłem pakt i bloki. Na to nie ma rady. Rząd USA z uporem godnym lepszej sprawy nie chce jednak spojrzeć prawdzie w oczy i realistycznie ocenić sytuację oraz układ sił w świecie. A warto. Warto zwłaszcza zastanowić się rozgorączkowanym militarystom zza Oceanu nad oświadczeniem Czou En-lai'a, który powiedział: „Wyzwolenie Tajwanu — to suwerenne prawo Chin: nie będziemy tolerowali żadnej ingerencji obcej“, oraz nad słowami Mao Tse-tunga: „Jeśli imperialiści rozpętają wojnę, to wraz z narodami całego świata rozgromimy ich niechybnie“.

WŁOŚCIMIERZ ODOJEWSKI

PRZEBUDZENIE

Wyżęłaś rude włosy z deszczu
i dłonie nasiąknięte zmierzchem
spłotłaś pod głową w ciepłe schnąc;
i ukląkł późny mrok w żrenicach
i przesypała las księżycem,
jak luską ryb dojrzała noc.
Ciąg dzikich kaczek poszybował
w cień tataraków. Z dna parowu
płynęła krzykiem drżącym powódź.
Pod księżycowym nieba tłem
targnął wabiący świt w poszycie,
w ulewie głosów już o świetle
szepotałaś odgarniając sen:
— Wzbierają paki, trawy rosną,
patrz, nasza miłość budzi wiosnę.

MALGORZATA HILLAR

SZCZĘŚCIE*)

Dobre jest szczęście człowieka,
spokojne, proste, zwyczajne:
paprotka na białym oknie,
płynąca z radia pieśń Haydna.
Słowa miłosne w kopercie
otrzymane z daleka.
Radozne jak szum strumienia
bywa szczęście człowieka
tam, gdzie samolot w błękitie,
lejąc ponad ogrodem
buczy jak trzmiel aksamitny,
który upił się miodem,
a dziecko przed nim nie drży,
nie chęwa się, nie ucieka,
lecz mrucząc w słoneczny oczy
do ptaka się uśmiecha.

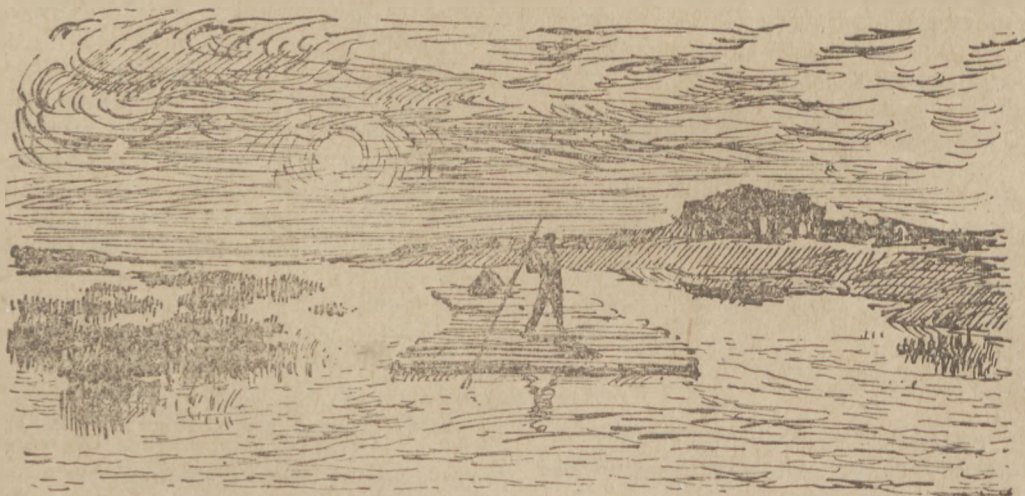
*) Debiut.

LESZEK BAKUŁA

O R Y L

Narew — warcecz błękitny pod niebem
Kozpleciony pasmami po łące.
Narwią płynął oryl za chlebem,
Tratwy, łzy i pańskie pieniądze.
Wiatru pług się nurza w fal skibach,
W oczach słońca pożary ziębi.
A on płynął — pół człowiek, pół ryba
Wyrzucona jak z życia głębi.
Czemu ty tak wiesz uparcie
Woda zimna — drogo bez gruntu.
Groi bosaka w noc, na warcie,
W jego dłoni drżał błyskiem buntu.
Czemu płaczesz młoda rybko o,
Ze ci woda zabrała gniazdo,
On miał łudę ze słomy zbitą,
W śnie powieki przykryte gwiazdą.

A gdy burza — świecił mu piorun.
Gdy tęsknota — z wiatrem beznamiętnym
Do muzyki skrzydlatych borów
Śpiewał pieśni wolny galernik.
Czemu pierś zgnetłaś mu tratwo,
Kiedy padł szarpnięty galakiem.
Życie jest ciężko, więc umrzeć łatwo,
Gdy się chłopem jest i flisakiem.
W oczach druhów wezbrała Narew
Zalem, który kamieniał w pięści.
Matce wyschłej jak drewno, starej,
Kwiatów garstkę przynieśli — wieści.
I te grosze krwawe, flisacze,
Za którymi porzucił wioskę.
Posła matka w świat na tułaczkę
Pamięć syna dźwigając — piosnkę.



FELIKS • DERECKI PIEKUNOWIE

ILUSTR. ZBIGNIEW KIULIN

Do niedawna źle się działo w naszym kole. Władze fabryczne nie poświęcały należytej uwagi sprawie rozwoju organizacji zetempowskiej. Gdy zwracaliśmy się o pomoc otrzymywaliśmy zawsze tę samą odpowiedź.

Dyrektor nie miał czasu, bo pochłaniały go sprawy produkcyjne.



Dyrektor złożył samokrytykę i obiecał wykazywać więcej zainteresowania naszymi sprawami; tak się przy tym wzruszył, że ucałował przewodniczącego.

Sekretarz organizacji partyjnej złożył samokrytykę i bijąc się w piersi oświadczył, że nie ma dla niego w tej chwili nic droższego nad naszą kochaną, bojową młodzież; mówiąc to uściśkał sekretarza.

Przewodniczący Rady Zakładowej złożył samokrytykę i powiedział, że dopiero teraz ujrzał z całą wyrazistością swe błędy. Niebawem czynami postara się udowodnić, że sprawy młodzieży nie są mu obce. Na dowód dobrych chęci ucałował skarbniczkę.

Na sali panował entuzjazm. Tak było do końca zebrania.

Nazajutrz, gdy zwróciliśmy się o pomoc do władz, powiedzieliśmy sobie, że:



Sekretarz organizacji partyjnej samokrytycznie przyznawał, że nie doceniał nas, ale w najbliższym czasie zacznie doceniać.

Przewodniczący Rady Zakładowej miał zaprątniętą głowę sprawami bytowymi i ubolewał obłudnie, że nie ma drugiej głowy, którą by mógł zaprzętać sobie naszymi sprawami.

Nic więc dziwnego, że praca szła jak po grudzie. Czuliśmy się zniechęceni i osamotnieni.

Tak było do niedawna, konkretnie do wczoraj. Bo oto na wczorajszym zebraniu poświęconym współpracy ZMP z władzami fabrycznymi zarysował się wyraźny przełom.



Dyrektor nie ma dla nas czasu, bo pochłaniają go sprawy produkcyjne.

Sekretarz organizacji partyjnej samokrytycznie przyznaje, że nie doceniał nas, ale w najbliższym czasie zacznie doceniać.

Przewodniczący Rady Zakładowej ma zaprątniętą głowę sprawami bytowymi i ubolewa, że nie ma drugiej głowy, którą by mógł zaprzętać sobie naszymi sprawami.

Słowem — nic się nie zmieniło. Mimo wszystko nie zniechęciliśmy się. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że to my powinniśmy zainicjować współpracę koła z władzami fabrycznymi.

Postanowiliśmy poświęcić tej sprawie kolejne zebranie.

Krytyka i BIBLIOGRAFIA

Sprawa „POKOLENIA”

KRZYSZTOF T. TOEPLITZ

KIEDY wspominamy minioną historię — czynimy to przeważnie dla dnia dzisiejszego. Czynimy nie po to, aby przypomnieć sobie takie czy inne fakty i zdarzenia, ale po to, aby z tych zdarzeń i faktów wyciągnąć wnioski na dzisiaj. W ten sposób historia, przeszłość, towarzyszy nam w bieżących sprawach, staje się ona nie zbędnym balastem, ale żywą, aktualną sprawą — niesie pomoc, radę, wskazówki.

I to jest główny powód, dla którego warto sięgać do przeszłości. Niedaleka to zresztą przeszłość, którą oglądamy w filmie „Pokolenie”. Niedaleka, bo dzieli nas od niej kilkanaście zaledwie lat, bo wszyscy prawie pamiętamy ją dokładnie, jest ona częścią naszego życia. Ale jednocześnie wielu widzów patrząc na ekran uświadamia sobie, jak bardzo różne, jak inne od naszego współczesnego życia było życie bohaterów „Pokolenia”, jak wiele się zmieniło w nas samych i dookoła nas przez tych kilkanaście zaledwie lat. Zmieniła się sytuacja historyczna, zmienił się wygląd naszego miasta — Warszawy, zamiast czasów niewoli i krzywdy społecznej nastąpiła wolność narodowa i sprawiedliwość społeczna. Jednocześnie jednak patrząc na „Pokolenie” nie można oprzeć się wrażeniu, jak wiele nas łączy, jak wiele jest wspólnego, pomiędzy dzisiejszym życiem rewolucyjnej młodzieży, a życiem bohaterów „Pokolenia”. Nie chodzi tu tylko o to, że dzień dzisiejszy jest wynikiem, jest zwycięską konsekwencją walk z owych lat. Nie chodzi tylko o to, że to, o co bijemy się dzisiaj jest jakby dalszym ciągiem pokazanych na filmie zmagani. Gdy do końca przemyśleć problematykę filmu okaże się, że wspólnym dla tamtych i dla naszych czasów pozostało to, co najważniejsze — zasadniczy sens, treść ideowa i kierunek naszej walki. Zmieniły się warunki, zmieniły się formy, ale pozostał wspólny szlak marszu garstki chłopców z konspiracyjnego ZWM-u, i setek tysięcy dzisiejszych ZMP-owców. Po co o tym mówić? Przecież to oczywiste, powszechnie wiadome, niemal fatalne — powie zapewne niejeden czytelnik,

Tak, to oczywiście. Wiemy o tym i słyszeliśmy to już nieraz. Ale czy zawsze potrafimy wyciągnąć stąd wnioski? Czy nie spotykamy się często w pracy z młodzieżą ze zdaniem, że „wtedy to były czasy, była prawdziwa walka, prawdziwe zmaganie, nie było wielkich patetycznych słów, ale był zato patos na codzień, powszedni i wzniosły zarazem”? Czy nie porównujemy często tych minionych a niedalekich lat walki z niejednym nudnym zebraniem i nie wykorzenioną jeszcze czczą gadaniną, z jaką spotykamy się jeszcze nieraz dzisiaj? Czy wreszcie nie sądzimy niejednokrotnie, że prawdziwe, wielkie bohaterstwo, wielka romantyka możliwa była wtedy, kiedy z bronią w ręku szło się na wroga, nie zaś dziś kiedy nie wymaga się od nikogo wielkiej ofiary życia, lecz codziennego twardego uporu w pokonywaniu trudności codziennych, nie efektywnych, powszednich trudności przy warsztacie, w szkole, na roli?

Film „Pokolenie” przypomina o romantyzmie walki. Nam zaś chodzi dziś o to, aby te same wartości, romantyzm, patos, głębię ludzkiego przeżycia, przenieść na okres budownictwa, w którym żyjemy. „Pokolenie” więc, przypominając o okresie minionym stawia przed nami, jako główny problem do dyskusji i realizacji sprawę romantyzmu budownictwa. Tak! właśnie jest wniosek praktyczny z tego filmu o przeszłości dla dnia dzisiejszego.

Skąd się brał ów romantyzm walki garstki ZWM-owców, który promieniuje z filmu?

Przyjrzyjmy się bliżej „Pokoleniu”. Pokazuje on gromadkę chłopców z przedmieścia Warszawy — robotniczej Woli. Chłopców, którzy od najmłodszych lat odbierać musieli ciężką i gorzką szkołę życia. Ciemne mieszkanie, brudna knajpa, warsztat, w którym pracuje się od rana do nocy przy akompaniamencie pokrzykiwań majstra — oto były pierwsze doświadczenia życiowe Stacha, Jasia Krone i ich kolegów. Obrazu ich wczesnej młodości dopełnia okupacja — niemiecki strażnik, konwojujący pociąg z węglem, niemiecki żandarm na ulicy. Tak! oto po-

nury i smutny był pierwszy obraz świata, z jakim spotkało się to pokolenie.

Młodość nigdy nie jest wyizolowana z otoczenia. Albo włącza się w nurt jego życia i podporządkowuje jego kanonom, albo występuje z buntem. Tak też stało się z chłopcami z „Pokolenia”. Na początku filmu widzimy ich, jak w największej zgodzie grają w pikuty — Stach, czarny i barczysty Kostek i inni. Są młodzi, czują w sobie siły do działania. Pierwszym ich „działaniem” pokazanym na filmie jest kradzież węgla z przejeżdżającego pociągu. Kradzież, jak to się w czasach okupacji mawiało, „patriotyczna”, bo to przecież węgiel dla okupanta, ale jednak kradzież. Jak się dalej potoczyły losy tych młodych? Wiemy, że Stach nie został złodziejem i nożownikiem z przedmieścia. Ale co się stało z Kostkiem, o którym komentarz na wstępie filmu mówi, że „robił z nożem co chciał”? Nie spotykamy go później w szeregach walczących. A więc może wybrał on inną drogę, nie tę, która prowadziła do walki o lepsze życie, ale tę, która wiodła do knajp i spelunek dawnej Woli?

Tak się zaczynała wielka „romantyka” życia chłopców z „Pokolenia”. Zaczynała się od wyboru, tego wyboru, którego niesposób w życiu ominąć. Czyż i dzisiaj, w nowych warunkach życia, nie musimy wybierać? Czy nie wybrali swojej drogi ci z nas, którzy stanęli w szeregach budowniczych, i ci, którzy szukają „mocnego życia” i „silnych wrażeń” w chuligańskich wybrykach? To też jest wybór, wybór ważny i decydujący, a naszym zadaniem, zadaniem ZMP-owców, jest pomagać młodzieży w tym wyborze.

Dlaczego Stach i jego koledzy z ZWM poszli tą właśnie drogą, którą pokazuje nam film? Poszli nią dlatego, że kierował nimi bunt, sprzeciw wobec tego wszystkiego, co w ich otoczeniu, w ich życiu było niskie, podłe, brudne. Sprzeciw wobec własnej zbieżności, która groziła im w ciemnych mieszkaniach i na rozchlapanych uliczkach Woli. Z buntu wobec tego co jest, wyrosła ich walka o to, co ma nadejść, o to lepsze, godniejsze życie. Drogę do tego życia wskazała im organizacja. Zbędna tu była długa agitacja, szkolenie, uświadamianie. Jedna rozmowa Stacha z Sekułą, kilka zdań zamienionych z Dorotą — to wystarczyło, aby w umyśle młodego robotnika to wszystko, co przeżył i doświadczył dotychczas ułożyło się w konsekwentny ciąg myślowy, całe jego życie pozwoliło mu odpowiedzieć na pytanie Doroty o Gwardię Ludową, że wprowadzić nie wie, co to jest GL, ale czuje to wyraźnie,



Rzecz jasna, z chwilą wstąpienia do ZWM życie Stacha i jego kolegów nie stało się od razu inne, nie zmieniły się od razu jego warunki. Ale dzięki organizacji zdołali oni przerzucić most pomiędzy teraźniejszością, a przyszłością, o którą walczyli. Odnaleźli oni dzięki ZWM-owi sens życia, jego cel, znaleźli odpowiedź na dręczące ich pytania. Pamiętamy rozmowę Stacha ze starym Krone. Krone, dozorca w warsztacie Ber-gów, narzeka na swoje smutne życie i kiedy Stach mu współczuje, stary mówi, że i jego, Stacha życie nie będzie lepsze. Ale Stach jest już wtedy ZWM-owcem, bojownikiem o to właśnie, aby życie stało się lepsze. Dlatego też nie godzi się z Kronem.

I to jest chyba najważniejsza z nauk „Pokolenia”, to jest właśnie źródło romantyzmu w tym filmie i w życiu jego bohaterów. Niezgoda na to, co jest, walka o to, co musi nadejść — oto jest przestrzeń, w której może rozprzestrzeć na całą szerokość skrzydła młode pokolenie.

Czy ta przestrzeń niedostępna jest nam i dziś? Czy w niej przypadkiem nie leżą źródła nowego romantyzmu, którego i dzisiaj pragnie walcząca młodzież?

Przecież i dzisiaj nie brak jeszcze w naszym życiu spraw, z którymi nie sposób nam się pogodzić. Przecież i dziś mamy dookoła siebie wiele zła i krzywdy, niesprawiedliwości i podłości. Uczyniliśmy wielki krok w kierunku nowego i sprawiedliwszego życia, ale daleka jest jeszcze droga do pełnej jego realizacji. Nasza, ZMP-owska robota i dziś również wyrastać musi z walki, niezgody na wszystko, co zacofane, wsteczne, małe. I kierować nią musi ta sama tęsknota za lepszym i wspanialszym.

Zdarza się nieraz, że tę wielką perspektywę przyszłości, o którą walczymy, gubimy w powo-

dzi papierków, nudnych zebrań i częściej gadaniny. Zdarza się, że za tą powłoką, lub lepiej — z winy tej powłoki — nie potrafimy pokazać młodzieży istotnych i wielkich celów, zasadniczego sensu walki, że samą młodzież oceniamy na podstawie zewnętrznych, nielotnych przejawów, nie wchodząc w istotę, główny sens jej przeżyć. Ze prawdziwy romantyzm naszego budownictwa, romantyzm płynący z zestawienia rzeczywistości, w której żyjemy i celów, które chcemy osiągnąć wietrzeje w powodzi codziennych spraw. Przypominanie jednak o nim, doszukiwanie się go w obecnym życiu młodzieży, zapalanie do tych perspektyw, to jest chyba jedyna droga, aby młodzież rozumiała, że czasy wielkości i romantyzmu nie skończyły się z ostatnim wystrzałem walki zbrojnej. Ze trwają nadal.

Nowe warunki, w jakich pracujemy, sprzyjała niejednokrotnie rodzeniu się wszelkiego typu wypaczeń. Znamy przecież takich działaczy naszej organizacji, którzy z przywódców młodzieży, jej rzeczywistych kierowników zamienili się w

administratorów, urzędników, obłożonych papierami i obstawionych telefonami lub w bezdusznych krzykaczy i gaduły. To są wypaczenia, płynące z nowych warunków, w jakich pracuje nasza organizacja. Ale czy w czasach, o których opowiada „Pokolenie“ nie było również wypaczeń, płynących ze specyfiki tamtego okresu? Przypomnijmy scenę, kiedy po zamachu na strażnika Jaś Krone opowiada o swoim wyczynie. Widzimy wyraźnie, że przed chłopcem tym staje wielkie niebezpieczeństwo. Ze ideowa walka, której służył ZWM zamienić się może u niego w kowbojstwo, poszukiwanie mocnych wrażeń dla samych wrażeń, w nie mające nic wspólnego z ideą awanturnictwo. Stach może nieświadomie nawet wyczuwa to niebezpieczeństwo i wrywa pistolet z ręki kolegi. A więc i wtedy, wbrew pozorom, nie wszystko było takie proste i niejednemu, tak jak i dziś, groziło zagubienie, przesłonięcie zasadniczego sensu walki przez jej zewnętrzne formy. Tak jak wtedy awanturnictwo, tak dziś zurzędniczenie i bezduszność jest niebezpieczeństwem, narodziła, z którą organizacja jako całość musi się nauczyć walczyć.

Mówi się dziś u nas o prawie do pełnego życia dla młodzieży, o prawie do prawdziwych uczuć, do miłości, radości i smutku. W „Pokoleniu“ widzimy, że tak było istotnie w czasach walki. Miłość, wielka przyjaźń, towarzyszyła Stachowi i jego kolegom, towarzyszyła życiu organizacji. Ale czy działo się tak dlatego, że taka była dyrektywa? Nie, z pewnością nie. Działo się tak dlatego, że organizacja pochłaniała całe życie jej członków, że młodzi całkowicie i bez reszty żyli organizacją. Wraz z nią zaś przyszło do organizacji i to, co jest od życia młodych nieodłączne — gorące młodzieńcze uczucia,



ZESPOŁY ARTYSTYCZNE PRZED V FESTIWALEM

ALEKSANDRA ANDREJEWA

GODNIE przygotować się na przyjęcie kolegów i koleżanek, którzy przybędą do nas w lipcu na Festiwal, pomoże nam niewątpliwie ogłoszony w listopadzie ub. roku **Ogólnopolski Konkurs Zespołów Artystycznych**.

Wiele zespołów już dawno rozpoczęło przygotowania do konkursu. Z zapalem pracuje zespół piosenki i tańca w Paczynie pow. Gostyń. Zespół teatralny z grom. Cwików pow. Dąbrowa Tarnowska przygotowuje sztukę Ostrowskiego „Las” i grał ją już trzykrotnie. Dużo starań i wysiłku w przygotowaniu do Festiwalu dokłada Zakładowy Dom Kultury w Tarnowie, w którym nie tylko pracują własne zespoły, ale znajdują też pomoc i opiekę zespoły wiejskie. Ośiem zespołów zaopatrzone w repertuar, chóry w Zbątkowskiej Woli i Lisiej Górze są pod opieką instruktora Juliusza Kolbusza, a kol. Alicja Preiss instruktor choreografii wiele troski, serca i wiele godzin pracy poświęca zespołowi tanecznemu ze spółdzielni produkcyjnej Pleśna.

Sporo jednak zespołów mimo zgłoszeń pracuje jeszcze za mało i wyniki ich pracy nie odpowiadają ich możliwościom.

Spieszmy się, bo czasu zostało naprawdę niewiele. W kwietniu odbędą się eliminacje powiatowe i wojewódzkie, a już w maju — centralne.

Pomóżmy naszym zespołom! Zwróćmy uwagę na pracę Powiatowych Domów Kultury. Ułatwiamy pracę organizacyjną kierownikom PDK, świetlic, zespołów i fachowcom zawodowym.

✱

Najwięcej chyba kłopotu w naszej pracy mieliśmy i mieć będziemy z repertuarem. Jak się dowiedzieć, co zostało wydane i zorientować się co do jakości istniejącego repertuaru? Dużą pomocą będą dla nas wydawnictwa Ośrodka Metodyczno - Instrukcyjnego Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wydał on „Wykaz sztuk teatralnych zaleconych na Ogólnopolski Konkurs Amatorskich Zespołów Artystycznych”. Wykaz ten obejmuje około 100 pozycji repertuarowych. Są tam sztuki współczesne, jednoaktówki, obrazki sceniczne i inscenizacje, sztuki polskie o tematyce historycznej, sztuki klasyczne polskie, sztuki radzieckie, sztuki współczesne i sztuki klasyczne innych narodów. Wykaz ten podaje: autora utworu, tytuł, wydawnictwo, ilość osób występujących w sztuce i ilość zmian dekoracji,

Jeszcze więcej zorientuje nas drugi „Wykaz Repertuaru” również wydany przez Ośrodek Metodyczny MKiS, w którym znajdziemy wyczerpujące streszczenie każdej pozycji i ocenę, dla jakiego zespołu sztuka jest możliwa do grania.

Ośrodek również wydał „Repertuar dla zespołów amatorskich na II Festiwal Muzyki Polskiej”. W wykazie tym znajdziemy utwory muzyczne na głos z fortepianem lub akordeonem, na chór mieszany a capella, na chór mieszany z fortepianem lub akordeonem itp. Broszura zawiera też cenny wykaz Księgarń Domu Książki, w których te utwory są do nabycia.

Obszerne omówienie repertuaru Festiwalowego znajdziemy również w miesięczniku „Praca Świetlicowa” nr 1-2/1955 r. na str. 38 w artykule pt. „Jaką sztukę możemy wybrać do grania na konkursie”. Wskazówki praktyczne przydatne nam w pracy organizacyjnej znajdziemy również w „Pracy Świetlicowej” w artykule: „Jak radzić sobie w pracy nad sztuką na konkurs” (nr 1—2/55 str. 44). Każdą wybraną sztukę możemy kupić w księgarniach „Dom Książki”, winniśmy się domagać, aby były one również w GS-ach i kioskach z książkami. Jeśli mamy jednak kłopoty z nabyciem sztuki czy nut na własnym terenie, wysłać możemy pocztą zamówienie na adres: **Centralna Księgarnia Wysilkowa — Warszawa, Plac Dąbrowskiego 8**. Księgarnia ta jest najlepiej zaopatrzona i wysyła książki za zaliczeniem pocztowym, tzn. płatne przy odbiorze przesyłki,

✱

Co powinno decydować o wyborze utworu do wykonania? Obowiązują nas przy tym dwie zasady. **Po pierwsze:** możliwości zespołu, **Po drugie:** potrzeby środowiska.

Możliwości zespołu: Mamy do wyboru wiele utworów. Pełnospektaklowe sztuki tzn. takie, które trwają około 2 godzin, mają parę odsłon i parę dekoracji, a nierzadko bierze w nich udział wiele osób. Takie sztuki przeważnie są dość trudne, wymagają wyrobienia zespołu aktorskiego, doświadczonego reżysera — kierownika zespołu i obsługi technicznej — zespołu, który by wziął na siebie trud budowy dekoracji i sprawnej ich zmiany w czasie trwania przedstawienia. Takie sztuki będą grały zespoły już wyrobione, mające za sobą doświadczenie w pracy teatralnej. Nie znaczy to jednakże, abyśmy nie mieli rozbu-

dzać w zespole ambicji do grania takich sztuk. Jeśli chcemy grać po raz pierwszy sztukę pełnospektaklową, najłatwiej nam pójdzie praca ze sztuką współczesną, która przeważnie nie wymaga skomplikowanych dekoracji i kostiumów. Do takich sztuk należą: „Zwycięstwo” i „Chwasty” — obie J. Warmińskiego, „Gorzkie ziarno” — H. Worcella i A. Naborowskiej, „Chrzest ogniowy” — węgierskiego pisarza Ernő Urbana, „Skowronki śpiewają” — radzieckiego autora Kondrata Krapivy (uwaga: ostatnia sztuka dla zespołów muzycznych). Najłatwiej jednakże zaczynać od prostych, nie mających zbyt licznej obsady jednoaktówek, obrazków scenicznych i inscenizacji znanych i lubianych książek. Jest ich dość dużo do wyboru: „Prawi dziedzice” — M. Rusinka, „Zielone gałęzie” — J. M. Gisgesa, „Przeciw Krzywdzie” — Bratnego, „Skradziony rekord” — Mularczyka, „Ogień na mnie” — S. Artowskiego, „Podarunek zwiadowców” — J. Hena i wiele innych. Ostatnio zaś ukazał się duży zbiorek kilkunastu pozycji „Inszenizacje opowiadań i fragmentów powieści współczesnych pisarzy polskich” — Aleksandry Naborowskiej.

Ale możliwości zespołu nie tylko będziemy oceniać według zdolności uczestników, reżysera i zespołu technicznego. Zastanowimy się również, czy scena nasza nadaje się do wystawienia wybranej przez nas sztuki. Czy potrafimy zbudować na niej odpowiednie dekoracje i dokonywać w czasie krótkich przerw ich zmiany. Przy wyborze sztuk historycznych i klasycznych dobrze rozważymy możliwość zdobycia czy uszycia własnymi siłami kostiumów, rekwizytów potrzebnych i koniecznych stylowych mebli. Pamiętajmy, że sztuka teatralna jest zespołem sztuk: Na dobry poziom przedstawienia składa się nie tylko świetna gra aktora, ale i oprawa sceniczna (dekoracje), kostiumy, oświetlenie, a nierzadko i muzyka.

Wybierając więc sztukę, zrobimy staranny przegląd siły zespołu, nie przeceniajmy jej w zapale, ale też pamiętajmy, że entuzjazm i miłość do sztuki wiele pokonuje trudności.

Potrzeby środowiska. Drugą decydującą zasadą przy wyborze sztuki będzie dla nas potrzeba naszego środowiska. Potrzeba gromady, czy zakładu pracy, których ludzie będą oglądać nasze przedstawienie. Dla nich przecież, dla ich odpoczynku, przyjemności a i nauki wystawiamy sztukę. Dlatego też nieobojętna będzie dla nas idea, mysł przewodni i problem zawarty w utworze dramatycznym. Czy to będzie sztuka pełnospektaklowa współczesna czy klasyczna jednoaktówka czy inscenizacja, zawsze zadamy sobie pytanie: „dlaczego, po co właśnie tę, a nie inną sztukę chcemy zagrać, pokazać ją naszym towarzyszom pracy”.

Zespoły, w których są komitety założycielskie, w których środowisku wiele mówi się i dyskutuje na temat przemian na wsi, sięgną

po współczesną sztukę o tych problemach. Są to: „Zwycięstwo”, „Chwasty”, „Gorzkie ziarno”, „Chrzest ogniowy”.

Zespoły interesujące się przeszłością, w środowiskach gdzie żyje więcej niż gdzie indziej tradycja walki o Polskę Ludową, tradycja strajków, walk o wyzwolenie narodowe i społeczne, mogą wybrać „Buraczane liście”, „Przeciw krzywdzie”, „Nowy tor”, „Płynię Oka”, „Nowy Rok”, „Ogień na mnie”.

W bogatym wykazie repertuaru znajdziemy odbicie niemal wszystkich problemów, którymi żyjemy, które nas interesują. Trzeba więc i pod tym kątem widzenia przejrzeć sztuki do wyboru.

Często zdarzy się tak, że jakaś sztuka bardzo nam odpowiada ze względu na poruszany w niej problem, ale możliwości zespołu nie zbyt odpowiadają wysiłkowi, którego wymaga jej wystawienie. Zastanówmy się wówczas poważnie. Może jednak warto spróbować. Poszukać pomocy z zewnątrz, w powiecie czy w województwie. Ogólnopolski Konkurs Zespołów Artystycznych jest ambicją wszystkich działaczy kulturalnych miast i wsi. Spróbujmy więc!



We wszystkich naszych troskach i kłopotach w czasie pracy mamy prawo i obowiązek szukać pomocy. Zwracajmy się o nią do Rad Narodowych, do Gromadzkich Komisji Kultury, do Oddziałów Kultury PRN, do Komitetów Partyjnych, do Sektorów Kultury KP PZPR, do Koł Gromadzkich i Zarządów Powiatowych ZSch. Idźmy do nich z naszymi trudnościami, idźmy z własnymi pomysłami. Zgłośmy swoje plany i zamierzenia, przemyśły razem z nimi sposoby realizacji naszych przedsięwzięć. Żądajmy od nich zawsze konkretnej pomocy.

Zwracajmy się o pomoc również i do nauczycielstwa, a także i do tych kierowników i instruktorów świetlic i Domów Kultury, którzy zostali przeszkoleni w okresie jesienno-zimowym na konferencjach specjalistycznych, organizowanych wspólnie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i Związek Samopomocy Chłopskiej.

W miastach mogą nieść nam tę pomoc fachowi, zawodowi artyści: aktorzy, reżyserzy, muzycy, plastycy. Napewno nie odmówią nam swoich rad i wskazówek. Zwracajmy się z naszymi kłopotami, z prośbą o instruktaż i konsultację do Wiejskich, Powiatowych i Wojewódzkich Domów Kultury, do Ognisk Muzycznych, Choreograficznych i Plastycznych. Ustalmy sobie stały kontakt z fachowcami, z Domami Kultury czy Ogniskami. Przy odrobinie chęci i pomysłowości obu stron uda się to nam napewno,



Zimowa ofensywa



Układ na śpiew z akordeonem *:



Słowa: KAZIMIERZ WINKLER

Marszowo

Muz. WOJCIECH MAKLAKIEWICZ

Marszowo

1. Gdy wczter-dzie stym pią-ty m ro-ku
2. Już w Mar-sza-wie e-cho twar-dych
3. Pod Ber-li-nem za-grzmiał już o-

ru- szył front, za- hu- cza- ty na- sze czo- gi i ka- tiu- sze, po- przez Wi- sty
kro- ków brzmie- ni- da ci spod Sta- lin- gra- du i Le- ni- no. Choć wo- ka- to
sta- tni bój, przy ra- dzieckim pot- ski bi- je się To- wa- rzysz. To- wa- rzy- szu,

si- ny lód do na- tar- cia, ze wszech stron, po- szły ar- mie ba- gne- ta- mi wro- ga skruszyć
ru- in stos, lecz zół- nie- rzom już się śni mia- sło ju- tra, us- miechnię- jak dzie- kruszy- na. 1-3. Zi-
trzy- maj krok, choć- by w pier- sioch brakło tchu, za- wsze ra- zem iść bę- dzie- my w przed- niej stra- ży

- mo- wa o- fen- sy- wa przy- nie- sła lu- dzio- m wio- snę i wio- sną ta za- kwi- tła szkar-
fa- tem wol- nych flag, nu- mi szta- nda- ra- mi o- kry- ta ca- fa Pol- skę i

f w czere- wien- tych szta- nda- rów lu- do- wy po- wiął wiatr, i- do- ny po- wiął wiatr. wiatr,

4) Na akordeon opr. M. Skorupinski